ŚWIAT

1 ZŁ

Nr. 12. DNIA 25 MARCA 1933 ROKU



TADEUSZ STYKA „LOULOU"

TREŚĆ:

ŚWIAT

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO
WARSZAWA, DNIA 25-go MARCA 1933 ROKU
ROK XXVIII • NR. 12 • CENA NUMERU 1 ZŁOTY

KOBIETA ZE SKAZĄ

Na marginesie procesu Rity Gorgonowej

Wyjątkowy, rzadki to wypadek w dziejach... sensacji. Proces sądowy, który już raz przebył swój punkt zenitowy, wówczas gdy Ritę Gorgonową potępiła, osądziła i skazała na szubienicę opinja publiczna Lwowa, za którą ślepo poszła ława przysięgłych, dziś nanowo przykuwa do siebie powszechną uwagę. Staje się jeszcze bardziej sensacyjnym, bo bardziej zagadkowym. Nie Lwów, gdzie rozegrała się ponura, tajemnicza tragedja mordu na Lusi Zarembiance, lecz cała Polska z niesłabnącem napięciem uwagi śledzi za przebiegiem procesu w sądzie krakowskim.

Procesu zbyt skomplikowanego, by można było ogarnąć całość danych i wyprowadzić stąd jakiekolwiek wnioski. Tylko ignorancja na zasadzie tych ułamków, jakie zdołaliśmy poznać dotychczas, może wyprowadzić wnioski. Wiedza, doświadczenie fachowe, znajomość sali sądowej — każą każdemu z nas, czytelników sprawozdań, powiedzieć sobie z rezygnacją: ignoramus et ignorabimus. Nie wiemy i wiedzieć nie będziemy. A niestety — dotychczasowe zachowanie się i niektórych przedstawicieli magistratury sądowej i niektórych przysięgłych wskazywać się zdaje na to, że i werdykt krakowski nie rozstrzygnie dręczącej zagadki i nie stanie się wyrazem ostatecznej, niezaprzeczalnej prawdy.

Gubiąca się w domysłach publiczność wybiera inną tymczasem metodę. Zastanawia się: czy Gorgonowa mogła zabić Lusię Zarębiankę? W ten sam lub podobny sposób rozumowali zapewne lwowscy przysięgli, tak traktuje zagadnienie szeroka opinja. Z drugiej strony — Gorgonowa znajduje zapalone obrończynie, które poszukują argumentów dla tezy, że — Gorgonowa zabić nie mogła.

Powstało zatem zagadnienie etyczno-obyczajowe, niemniej interesujące od samego procesu i jego niepokojącej zagadki. Zagadnienie to da się streścić w pytaniu: kim jest „taka kobieta" i czy można ją uważać za zdolną do wszystkiego, nawet do zbrodni? A poza tem zagadnieniem wyłania się analogiczna kwestja „takiego mężczyzny". Kogo tu należy potępić, kogo usprawiedliwić?

Bardzo stara kwestja, zawsze dotychczas rozstrzygana ze zbytkiem pobłażania dla mężczyzny, ze zbyt silnem potępieniem dla kobiety. Czyżby przyszedł czas na jeszcze jedną rewizję pojęć w epoce, która już tylu rewizji dokonała? W każdym razie rozważania na ten temat są niemniej ciekawe od gubienia się w domysłach, gdzie szukać klucza tajemnicy willi brzuchowickiej.

Rita Gorgonowa nie może w żadnym razie pretendować do roli pionierki nowych pojęć. Lecz znajdzie aż zbyt wiele usprawiedliwień dla sposobu, w jaki zdecydowała ustalić swą egzystencję. Niegdyś prosta i wyraźna linja demarkacyjna, poza którą kobieta traciła wszystkie względy i znajdowała się w stanie upadku, linja ta pod naciskiem życia poczęła się mocno wyginać i załamywać.

Życie stworzyło dziesiątki komplikacji.

Co ma czynić i jak żyć kobieta pozbawiona trwałego oparcia w małżeństwie? Dopóki były to względnie rzadkie wypadki, mieliśmy łatwą i prostą odpowiedź: stwarzać sobie pole do pracy samodzielnej i na niej swą egzystencję opierać. Gdy jednak dla wielu przyczyn, których tu niepodobna rozważać, małżeństwo przestało być tym portem, do którego szczęśliwie dobija prawie każda kobieta, a zwłaszcza, gdy nie jest ono trwałą przystanią, w której z rezygnacją, okupywaną poczuciem stałości, kobieta przebywać może, — cóż wtedy?

Mimo niezmiernie rozszerzonego w czasach powojennych pola dla pracy kobiecej, jest jej wciąż zamało i zawsze jeszcze stwarza ona egzystencję niepewną i upośledzoną. Życie samo stwarza nieuchronną konieczność: kobieta zawczasu do samodzielnej egzystencji nie przygotowana musi w dużej ilości wypadków szukać oparcia o mężczyznę, jako lepiej materjalnie zabezpieczonego. To poszukiwanie przybiera rozmaite formy. Jedną z nich, zazwyczaj traktowaną ze strony komicznej, jest poszukiwanie związków małżeńskich przez ogłoszenia matrymonjalne. Zamiast czekać okazji, by przyjąć pierwszą lepszą, jaka się zechce nadarzyć, kobieta wychodzi jej naprzeciw. Obok tego powstaje odrębna kategorja, której niepodobna uważać za coś wyjątkowego; należy ją uznać za zjawisko społeczne. „Osoba do gospodarstwa przy samotnym lub wdowcu z rodziną" — to już stała nomenklatura, powtarzająca się codziennie w dziesiątkach ogłoszeń. Pocóż te gromy oburzenia, jeżeli się samo zjawisko toleruje — i to właśnie w dzielnicy małopolskiej?

W tym wypadku zawarcie małżeństwa nie jest warunkiem przedwstępnym. Pod „prowadzeniem gospodarstwa" rozumieć należy, jako warunek milczący, współżycie w formach półstałych. Jest to, oczywiście, przekroczenie norm obowiązującego obyczaju, lecz — dalekie od zupełnego rozluźnienia moralnego. Przed paru dziesiątkami lat kobieta żyjąca na „wiarę" mimo usprawiedliwienia uczuciowego, była uważana również za istotę upadłą, „zdolną do wszystkiego". Jeszcze nieco wstecz, o jedno pokolenie, a takie samo surowe i ostateczne potępienie spotykało każdą kobietę, która dla jakiegokolwiekbądź powodu opuszczała ognisko domowe.

Nie uważamy do dziś za słuszne i wskazane tego, co potępiały tak bezwzględnie obyczaje naszych babek i matek, tylko... nie potępiamy tak bezwzględnie i nieodwołalnie. Mniejwięcej tak, jak ongi traktowano... błędy mężczyzn. Uznawano je zawsze za możliwe do wybaczenia.

I nowoczesna kategorja „osób do gospodarstwa", aczkolwiek nie może liczyć na aprobatę, nie powinna spotykać się z bezwzględnem potępieniem. Ten szeroki kontrakt, obejmujący zastępstwo *wszystkich* obowiązków pani do-



Gorgonowa z obrońcą mec. Ettingerem

mu, regulują ostatecznie nie przepisy o najmie pracy, lecz niepisany kodeks, w którym istnieje pojęcie trwałości, jako postulat idealny. A ileż cierni i przykrości życiowych trzeba znieść w życiu codziennem, w tym chociażby „zarządzie domem", przy którym nie ma się żadnych absolutnie praw, żadnych podstaw do żądania czegokolwiek! Gdzie mężczyzna jest wyłącznym i niespornym „panem domu", decydującym samoistnie o wszystkiem, wydzielającym pieniądze na potrzeby domu wedle własnego uznania: nieograniczonym władcą i despotą domowym, poświęcającym swemu władztwu jedynie skąpe okruchy wolnych chwil i myśli, zajętych w innych dziedzinach!

Będą tu więc i przykrości prowadzenia domu bez dostatecznych na to środków. Będzie i stosunek do obcych dzieci, które trzeba sobie zjednywać, nie posiadając w swem stanowisku w domu żadnego oparcia. I wstyd dwuznacznej pozycji, gdy intymny stosunek rozwija się w oczach tychże dzieci, i musi być zarazem tajony i otwarty. Jeżeli gdzie odnaleźć można ostatnie ślady niewolnictwa kobiety — to tam właśnie, w tej pozycji dwuznacznej, pozornie dogodnej i nawet lukratywnej, a stwarzającej niesłychane komplikacje, doskonałą pożywkę dla bakcyla nienawiści.

A z drugiej strony — „taki mężczyzna". Ten, który też łamie uświęcony obyczaj i który — a nie która!—przedewszystkiem kala atmosferę moralną domu, swojego własnego domu. Jeżeli kto powie, że kobieta się sprzedaje, to on jest tym, który kupuje. Nie zmusza go socjalna konieczność, nie on jest stroną słabszą w tym wzajemnym układzie. To on stawia warunki, to on obok swojej sypialni urządza „pokój służbowy". On poszukuje i on, znalazłszy, określa, o jaki zakres stosunku mu chodzi. Ona musi tylko potwierdzić: czy chce, a częściej — musi na to się zgodzić.

Podczas gdy ona godzi się na surogat małżeństwa, on — stwarza surogat rodziny. Któż jest bardziej niemoralny: czy ten, kto ofiarowuje siebie, czy ten, kto składa w ofierze rodzinę? Kto jest bardziej winny z dwojga, gdy atmosfera domu ulega zatruciu, gdy stwarzają się konflikty, mogące pociągnąć za sobą skutki fatalne? Miara potępienia jest bardzo nierówna. Pobłażliwość — dla mężczyzny, gromy oburzenia — dla kobiety.

Mężczyzna jest tradycyjnie, od wielu pokoleń, nieodpowiedzialny za moralność stosunków seksualnych. Cała odpowiedzialność ciąży na kobiecie, która sama jest ofiarą. Najsurowsza moralność ma dla niego uśmiech pobłażania...

Nadewszystko zaś pobłaża sobie on sam. Wszakże to nie małżeństwo, które nakłada pewne obowiązki. To konkubinat, który jego w niczem krępować nie może. On ma prawo szukać sobie uciech postronnych, on nie jest niczem związany, urządził się wygodnie i bezpiecznie. Ona — to co innego. Ona ma obowiązek dochowywać mu wierności, być mu całkowicie oddaną. Ileż oburzenia drży w jego głosie, gdy stwierdza, czy też snuje podejrzenia, że ona ośmiela się odpłacać mu równą miarą!

Trzeba dopiero głośnego, zagadkowego procesu, przykuwającego do wszystkich jego szczegółów uwagę publiczności, aby ze wstydliwego ukrycia wydobyć na jaw — dramat konkubinatu. Z pozoru — jest to jeszcze jedna, choć mniej wartościowa, forma wyzwolenia kobiety. Nad jej głową zawi-

sał dotąd przytłaczający, dławiący ciężar opinji. Była ona nieubłaganym stróżem moralności. Kobieta, która się wyłamywała z jej karbów, stawała się odtrąconą, wyklętą, wyrzuconą poza nawias społeczeństwa. Częstotliwość wypadków, w których kobieta wykracza poza obowiązujące kanony moralne, niewątpliwie osłabia tę presję moralną, jaką wywierać może społeczeństwo. Jest się strąconą do niższej kategorji, nie jest się już całkowicie odtrąconą, poniewieraną, prześladowaną.

Lecz już w samem tem zejściu o jeden stopień niżej tkwi zawiązek upośledzenia. Kobieta, w której obronie nie staje prawo i obyczaj, jest istotą bezprawną i bezsilną. Nikt i nic jej nie broni przed przewagą strony silniejszej i bardziej bezwzględnej. W oczach szerokiej opinji jest ona „kobietą ze skazą", po której wszystkiego spodziewać się wolno.



Gorgonowa po wyjściu z karetki więziennej na dworcu krakowskim. Obok policjant trzyma Kropelkę

A któż zechce pamiętać, że konkubinat jest częstokroć przymusową formą w razach, gdy małżeństwo jest uniemożliwione? Kto zechce mieć oczy otwarte na fakt, iż o szczebel niżej na drabinie społecznej stał się on już zjawiskiem zwykłem i codziennem? Gdy dane zjawisko obyczajowo-społeczne upowszechnia się, nie można reagować na nie zamykaniem oczu i zapuszczaniem na nie zasłonv. Niedole, jakie ono stwarza, komplikacje życiowe, do których prowadzi, winny być odsłonięte i ukazane w pełnem świetle dnia.

Z procesu Rity Gorgonowej to „światło dnia" bije z przerażającą jasnością. Gorgonowa może być zbrodniarką lub niewinnie posądzoną ofiarą. To kwestja danego, pojedyńczego wypadku. Lecz proces ten ukazuje nam, na jaw wydobywa sprawę, w której zaangażowane są tysiące kobiet, jak zawsze — dźwigając na swoich tylko barkach cały jej ciężar, podczas gdy mężczyzna pozostaje na pozycji uprzywilejowanej. On — tylko popełnia błąd, kobieta — nieść musi sama ciężar jego konsekwencji.

Jan Dąbrowski.

KRÓLEWSKA PARA WŁOSKA W EGIPCIE: Na przechadzce w Alei Sfinksów w Luxorze



TYDZIEŃ ŚWIATA

Uroczysty obchód

(sk) Imieniny marszałka Piłsudskiego były w tym roku obchodzone zarówno w stolicy, jak w całej, Polsce niezwykle uroczyście. Warszawa zwłaszcza przybrała wygląd świąteczny. Tłumy wyległy na ulice, wędrujące orkiestry różnych organizacji podnosiły nastrój. Odbył się cały szereg akademji; najpoważniejszą była ta, którą zorganizowało Prezydjum Rady Ministrów w pięknym Pałacu Radziwiłłowskim. Teatr Narodowy dał przedstawienie popołudniowe „Wesela" dla młodzieży w sobotę, w niedzielę zaś na galowem przedstawieniu w Teatrze Wielkim, po przemówieniach i balecie, odegrano ostatni akt „Samuela Zborowskiego", świetnie wyreżyserowany przez Ludwika Solskiego z Junoszą-Stępowskim w jego znakomitej kreacji Batorego.

Niebezpieczne porozumienie

(j) P. Ramsay Mac-Donald wraca ze swojej pielgrzymki do Rzymu z błogosławieństwem Mussoliniego na „porozumienie czterech mocarstw zachodnich" — Anglji, Francji, Włoch i Niemiec. Komunikaty oficjalne nie podają szczegółów tego porozumienia; ogólnikowo mówi się w komunikatach o „zabezpieczeniu długiego okresu pokoju dla Europy i świata przy pomocy paktu Kelloga i deklaracji nieuciekania się do siły". Cztery mocarstwa, w tej liczbie Niemcy i Włochy, mają być stróżami tego pokoju...

Podobno kanclerz Hitler również spodziewany był w Rzymie, ale nie zjawił się w stolicy faszyzmu. Porozumienie Mac-Donalda z Mussolinim doszło do skutku bez udziału najważniejszego partnera — Niemiec, które przecież są dziś w Europie najniebezpieczniejszym czynnikiem niepokoju. Hitler chętnie przystąpi do porozumienia — ale będzie stawiał swoje warunki. Potrzebne mu są sukcesy zagraniczne dla umocnienia stanowiska wewnątrz kraju. On, który doszedł do władzy pod sztandarem odnowienia potęgi Niemiec, nowej, wspaniałej „Trzeciej Rzeszy", nie odstąpi ani od postulatu równości zbrojeń, ani od usunięcia z Traktatu Wersalskiego klauzul militarnych. Zażąda rewizji znienawidzonego Traktatu i w innych punktach, np. w dziedzinie terytorjalnej.



Mac-Donald po wylądowaniu na lotnisku rzymskiem

Jeżeli Mac-Donald i inni mężowie stanu Zachodniej Europy zapłacą tak drogą cenę za pokojowość Hitlera — oddadzą sprawie pokoju najgorszą przysługę. Porozumienie takie stanie się w tych warunkach groźbą dla państw, które jak Polska i Mała Ententa, mają najżywotniejszy interes w wykonywaniu traktatów i poskramianiu odwetowych zapędów Niemiec. „Zabezpieczenie długiego okresu pokoju" będzie fikcją. Otworzy się okres głębszego jeszcze i bardziej niebezpiecznego — niepokoju.

Oddłużenie rolnictwa

(sg.). Obrady w naszych instytucjach prawodawczych nad wniesioną przez rząd ustawą o konwersji zobowiązań krótkoterminowych w rolnictwie dobiegają końca. Projekt wkrótce stanie się prawem. Znękani biedą rolnicy nasi nieco odetchną.

Długi rozłożone zostaną na ulgowy procent na 5 do 7 lat, z tem, że w pierwszych dwóch latach spłata na kapitał nie będzie obowiązywać.

Gdybyż podobna ustawa weszła była w życie przed dwoma laty, w połowie srożącego się od lat czterech kryzysu w rolnictwie! Inaczej wyglądałaby sytuacja gospodarcza naszego kraju. W innem położeniu byłby rolnik. Nie doszłoby do przesilenia w obecnej skali w handlu i przemyśle.

Polska, obok Rumunji, miała najniższe ceny na płody rolnicze w Europie. I Polska ostatnia z państw europejskich idzie na znaczniejsze ulgi finansowe dla rolnictwa.

Przystępując do zarządzeń, niosących ulgę w zadłużeniu rolnictwa, państwo zapomniało jednak o jednem. Ustawy głoszą: dług może być odłożony, ale odsetki muszą być płacone.

Zasadniczo słusznie. Ale rolnictwo zepchnięte zostało już w taką otchłań kryzysu i doszło do takiego kresu wyczerpania, że już i bez tych ustaw zaprzestawało coraz gremialniej płacenia nawet procentów. Należało więc wniknąć w sytuację głębiej i szczególniej w instytucjach państwowych pobieranie odsetek odroczyć do nowych zbiorów rolniczych, do jesieni.

Wtedy ustawy o ulgach miałyby dopiero prawdziwe znaczenie i istotnie odniosły skutki zamierzone.

PREZYDENT HINDENBURG I KANCLERZ HITTLER

Na dorocznej uroczystości żałobnej po poległych żołnierzach Fot. New York Times

Izolacja gospodarcza Niemiec

(j) Zmiana na stanowisku Prezydenta Banku Rzeszy jest, jak dotąd, najważniejszem posunięciem rządu Hitlera w dziedzinie gospodarczej. Odszedł Dr. Luther, były kanclerz z okresu Locarna, i objął jego stanowisko dr. Schacht, były prezydent Banku, który musiał opuścić to stanowisko ponieważ nie godził się na politykę swego rządu w Hadze, kiedy zawierano układ w sprawie odszkodowania na podstawie planu Younga.


Dr. Hjalmar Schacht

Dr. Luther był przedstawicielem starej, klasycznej szkoły bankowości. Był zwolennikiem parytetu złotego, międzynarodowej współpracy banków emisyjnych, ostrożnej polityki kredytowej wewnątrz kraju, uniezależnienia Banku centralnego od wpływów rządowych.

Dr. Schacht już od dłuższego czasu jest doradcą finansowym Hitlera. Jest nacjonalistą w sprawach pieniężnych, wyznawcą zasady „autarkji" — samowystarczalności gospodarczej Niemiec. Położył pewne zasługi przy stabilizacji marki w 1924 r., ale bardzo zawinił w okresie późniejszym, kiedy sprzeciwiał się zaciąganiu pożyczek zagranicznych długoterminowych, i stał się pośrednio sprawcą krachu bankowego z lata 1931 roku, kiedy Niemcy zawiesiły wypłacalność miljardowych długów krótkoterminowych.

Nowy Prezydent Banku Rzeszy, „swój człowiek" regimu hitlerowskiego, będzie miał hojną dłoń dla skarbu państwa. Już jest mowa o wielkim kredycie półmiljardowym na roboty publiczne.

Niepewność cechuje dziś życie publiczne Niemiec. Niepewność ta ogarnia również najczulszy instrument obrotu gospodarczego — pieniądz.

Dyktator Roosevelt

(j.). Nowy prezydent Stanów Zjednoczonych może się już w pierwszych dwuch tygodniach urzędowania poszczycić szeregiem poważnych sukcesów.

Odwrócił niebezpieczeństwo chaosu pieniężnego. Rozciągnął kontrolę nad bankami. Za jednym zamachem obciął o 500 miljonów dolarów wydatki państwowe. Znalazł nowe, poważne źródło dochodu w podatku od piwa.

A najważniejsze — opanował sytuację parlamentarną: obie Izby Kongresu. Senat oraz Izba Reprezentantów — współpracują z prezydentem Rooseveltem tak zgodnie i lojalnie, jak nigdy za czasów Hoovera.

Poprzednik Roosevelta musiał tracić wiele energji i czasu na ciągłe spory i zatargi z Kongresem, w którym pod koniec urzędowania miał przeciwko sobie zdecydowaną większość. Rooseveltowi podwójnie poszczęściło się: ma zdecydowaną większość demokratyczną w obu Izbach i rozpoczął swe urzędowanie w takiej chwil, kiedy Kongres nie odważyłby się stanąć wpoprzek zamiarom rządu.

Otrzymał tedy Roosevelt tak daleko idące pełnomocnictwa w zakresie sprawowania nadzoru nad bankami i w dziedzinie uzdrawiania pieniądza, że stał się on faktycznym dyktatorem gospodarczym Stanów Zjednoczonych. Jak dotąd, ku powszechnemu zadowoleniu parlamentu i opinji publicznej.

Konsekracja Biskupa Wojsk Polskich



Chwila po namaszczeniu ks. Gawliny olejami świętemi

Głód książki

(go.). Zaszedłem kiedyś do bibljoteki fundacji Kierbedziów przy ulicy Koszykowej i spędziłem tam kilka godzin popołudniowych i wieczornych.

Zaiste — instytucja ta nie potrzebuje reklamy: świetny gmach, ogromne zbiory, doskonale sporządzony katalog, — a na dwadzieścia groszy jeszcze nawet dziś zdobędzie się każdy.

Ale tłok, jaki tam panuje, nasuwa myśli radosne i smutne.

Radosne, bo niespodzianką jest widzieć rzesze ludzi łaknących wiedzy poważnej.

A smutne, że stolica Polski posiada tylko jedną taką instytucję.

Bibljoteka uniwersytecka służy jednak głównie młodzieży akademickiej, bibljoteka Krasińskich jest trochę specjalna, inne prywatne bibljoteki są mniej dostępne.

Czy rzeczywiście generacja, która wydała Kierbedziów i innych hojnych fundatorów, doszczętnie wymarła? Czy bieda w kraju jest tak wielka, że bogatych wcale już niema? Albo czy fundusze państwowe tak są skazane na stałe redukcje, że myśleć nie możemy o tworzeniu nowych bibljotek?

A może w takim razie należałoby społeczeństwu samemu pomyśleć o zbieraniu składek i wznoszeniu nowego księgozbioru dla nasycenia głodu książki?...

Gdzie logika?

(go.). Monopol tytuniowy prowadzi wielką kampanję propagandową na rzecz — palenia.

Aby głos i fundusze monopolu nie szły na marne, ta potężna instytucja państwowa powinna uczynić pewien nacisk na inne instytucje państwowe, by jej nie przeszkadzały w rozwoju.

Bo dlaczegóż naprz. w gmachu pocztowym nie wolno interesantom palić, gdy się tam nieraz spędza dobrą godzinę dla załatwienia różnych spraw? Albo w poczekalniach innych urzędów?

Niedokończona budowla...

Już od dwóch lat stoją nagie, nietynkowane mury dwóch skrzydeł, bez rozpoczętej nawet budowy środkowego korpusu Muzeum Narodowego, przy Al. 3-go Maja.

Jak dotąd, zamiast zdobić, obdrapane te mury raczej szpecą centralną dzielnicę naszej stolicy.

Budowy podjęło się miasto. Było to przedsięwzięcie ponad siły zasobności zadłużonej Warszawy. Nadomiar złego przyszedł kryzys. Dziś przestało się już wogóle mówić o dalszej budowie niedokończonego gmachu.

Jak masa rzeczy w Polsce, i ze sprawą Muzeum stanęliśmy na pół drogi i przestajemy myśleć o dokończeniu dzieła.

W innych krajach muzea są przeważnie własnością państwa. Tak powinno było stać się i z Muzeum Narodowem w Warszawie. To nie nawoływanie w tym wypadku do etatyzmu, to tylko spełnienie przez państwo obowiązku w zakresie kultury i kultywowania historji w najszerszem znaczeniu.

A jeśli już nie budowa Muzeum przez państwo, to pomoc choćby tylko kredytowa państwa dla miasta na cel ten jest nietylko wskazana, ale konieczna.

Tymczasem liczne zbiory muzealne, nie znajdując pomieszczenia, niszczą się po różnych zakamarkach, a sam gmach, zamiast być chlubą miasta, jest jego w obecnym stanie prawdziwą szpetotą

...i rozbiórka pięknego zabytku

Jednocześnie Krakowskie Przedmieście w okolicy Hotelu Bristol od kilkunastu dni stoi w tumanach kurzu i pyłu. Za lada podmuchem wiatru sypie się na głowy przechodniów miał z poza parkanu, za którym rozlega się huk walących się ścian pięknego, zabytkowego domu. Władze wojskowe burzą tę piękną budowlę, razem z Hotelem Europejskim i innemi gmachami nadającą ton tej części miasta. Na jej miejsce ma powstać wielka kilkopiętrowa kamienica mieszkalna.

„Gazeta Polska" pisze o tej rozbiórce pod wymownym tytułem „Rozważnie burzyć, rozważniej jeszcze budować!"



Wolna polityka

Czy może być coś przyjemniejszego: salon polityczny bez polityków? Bez polityków zawodowych. Bez dyplomatów, statystów, ministrów, którzy są gotowi popełnić największą niedorzeczność dla pewnej mistycznej damy, nazywanej przez nich racją stanu. Politycy niefachowi, prywatni, salonowi, jeżeli rozsnuwają koncepcje nieurzeczywistnialne, nigdy ich nie motywują racją stanu, nie są nigdy skrępowani przez umówione prawidła gry dyplomatycznej, nie są ograniczeni w zakresie pomysłowości politycznej przez żadne precedensy. Co prawda nieraz ich idee polityczne nie są ideami, są ideami pozornemi, są tem, co Bergson dowcipnie nazywa „non-idée", ale właśnie przez to rozmowa z tymi politykami bez certyfikatu jest często upajająca, i manewrowanie ideami pozornemi bynajmniej im nie ubliża, skoro non-ideami operował czasem i sam Platon, po dwóch i pół tysiącach lat wciąż jeszcze żywy i wenerowany w świątyni myśli czystej.

Przed kilkoma dniami znalazłem się w takim warszawskim salonie politycznym, nigdy nie odwiedzanym ani przez ministrów, ani przez senatorów, ani przez posłów, ani przez matadorów partyjnych. Polotów myśli politycznej nie paraliżowała tu rutyna żadnej oficjalności. W rozmowach czuć tu było niczem niekrępowanego ducha swobodnej inwencji. Ktoś mówił o Lidze Narodów.

— Mantsuko, czy Matsuko, wie pan, ten Japończyk, odrazu im zamknął gębę.

— Komu?

— Lidze Narodów. Oni karcili Japonję za tę wojnę w Chinach, za to zabranie Mandżurji, wie pan, za to zagarnianie chińskiego terytorjum, a on im powiedział: Panowie by tego wszystkiego nie mówili, żeby panowie trochę lepiej znali warunki życia japońskiego. Japonja się u siebie nie mieści, ona potrzebowała Mandżurji, ona musiała zagarnąć Mandżurję. Musiała! Czy panowie to rozumiecie? Kwestja życia i śmierci. Ona nie miała wyboru. Japonja mieszka na wulkanie, pewnego dnia całe to terytorjum wyleci w powietrze, najwyższy czas myśleć o przeprowadzce. A wojny w Chinach wcaleby nie było, gdyby Chińczycy zgodzili się oddać Japończykom Mandżurję bez wojny. Japończykom wcale nie zależało na krwi rozlewie. A w Lidze Narodów krzyczy się: „Napaść! Najazd! Wojna! Ofiary!" Japonja nie chciała wojny. Japonja chciała Mandżurji. Wszystkiego narobił opór chiński. Nikt chyba nie zaprzeczy Japończykom prawa do istnienia! Raport Lyttona i dziewiętnastu delegatów Ligi to teorja, a wojna o Mandżurję to życie. Nie dawajcie, panowie, pierwszeństwa wypracowaniom teoretycznym, gdy samorodne życie woła wielkim głosem o swoje odwieczne prawa! Dla jakiejś kruchej, przemijającej teorji nie skazujcie, panowie, Japończyków na ryzyko zamieszkiwania przez następne kilka tysięcy lat ruchomych terenów wulkanicznych! I zamknął im, panie, gębę, bo co tu, panie, na to można odpowiedzieć?

— A Chińczycy?

— Co, Chińczycy?

— Bo, ostatecznie, wchodzą tu w grę i Chińczycy. Chińczycy również chcą żyć.

— Więc dlatego, że Chińczycy chcą żyć, to już mają nie żyć Japończycy?

— Przypomina mi się — wtrącił ktoś trzeci — charakterystyczna opowiastka Sołohuba, znakomitego pisarza rosyjskiego, autora „Miełkawo biesa". Podnosząc pretensje małych narodów w stosunku do wielkich, które je pochłaniają, Sołohub odmalował alegoryczny obrazek, przedstawiając zatarg ogromnej ryby z małą rybką. „W takim razie — mówiła duża ryba — ty mnie pożryj; proszę cię, czekam. Ha, skoro nie możesz, to nie miej pretensji o to, że ja ciebie pożrę". Bajka ta bardzo się podobała Wellsowi, czy, czy może Kiplingowi, nie pamiętam. Jakiemuś Anglikowi.

— Bo Anglja to wielki naród.

— Ale Japończycy są mniejszą rybką, niż Chiny, a pożerają Chiny.

— Dosyć już tych wojen! Obowiązkiem Ligi Narodów jest znaleźć sposób na wojny. Z wojnami trzeba skończyć.

— Na to jest tylko jeden sposób. W każdem państwie ministrem spraw zagranicznych powinien być cudzoziemiec.

— Jakto?

— W Japonji ministrem spraw zagranicznych powinien być Chińczyk, w Niemczech Francuz, w Anglji Holender, w Stanach Zjednoczonych Hiszpan, w Danji Amerykanin i tak dalej i dalej. Czy mogłyby wtenczas wybuchać wojny? Wyłączone! Ale zobaczy pan, że oni wszystko zrobią, tylko tego nie zrobią! To im na myśl nie przyjdzie! A przecież to takie proste.

— Jest jeszcze lepszy sposób, tylko wymagałby umowy rejentalnej wszystkich narodów. Narody by się zobowiązywały, pod przysięgą, że król, cesarz, prezydent, czy kacyk, wypowiadający wojnę, byłby zmuszony przez swój naród do osobistego pojedynkowania się na śmierć i życie z władcą narodu wyzwanego. Przegrywa wojnę ten naród, którego monarcha padnie w pojedynku.

— Bądź co bądź, byłaby to jeszcze wojna.

— Ale o krwi rozlewie jakże zredukowanym!

— W Lidze Narodów uznanoby ten projekt za niehumanitarny.

— Uznanoby go przedewszystkiem za projekt warjata. Najzupełniej niesłusznie, bo przecież większem warjactwem jest zorganizowanie miljona pojedynków naraz, czem przecież ostatecznie jest wojna, niż wprowadzenie na metę tylko dwu ludzi.

— W gruncie rzeczy to nawet nie jest mój pomysł.

— Wiem, wiem, Filistyni i Żydzi, Goljat i Dawid.

— Nie. Już w nowszych czasach. Car Paweł Pierwszy. Zamierzał zaproponować kuzynom na innych tronach, aby zamiast wojen wprowdzili pojedynki głów koronowanych.

— To był zdecydowany psychopata. Och, przepraszam pana! Proszę o filiżaneczkę czarnej gorącej mokki. Już panienka chciała uciec z tą obiecującą piękną tacą.

Wacław Grubiński.





Tam wśród dzikusów

Część druga wspomnień podróżniczo-myśliwskich z Afryki Środkowej p. t. „Od oceanu do oceanu"

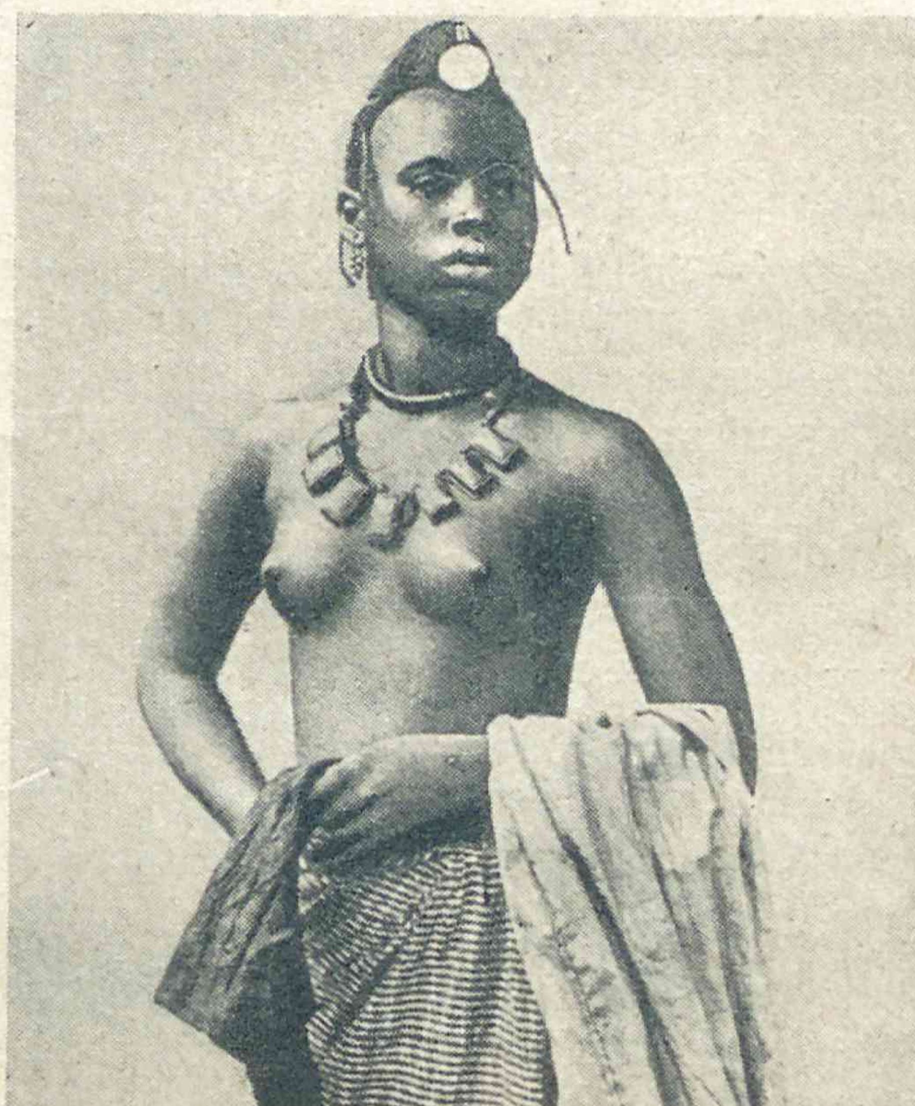
8)

Im dalej na północ, tem więcej spotyka się tu Arabów oraz murzynów z dużą domieszką tej krwi. Coraz gęściej widać konie, wielbłądy i osły, albowiem mucha tse-tse, ta straszliwa plaga afrykańkiej fauny, nie dociera do tych stron.

Droga wśród skalistej okolicy jest ciężka i wije się ustawicznie wśród wąwozów i wysokich czarnych gór. Mijam u podnóża szczyt Pic Saxe (1400 mtr.) i dopiero po przebyciu osady Tcholere zaczynam zstępować w niziny. Na rzece Reï zdarzył mi się wypadek: prymitywny prom z powodu wysokiego stanu wód poszedł nagle z prądem i pomimo nadludzkich wysiłków pagajerów (wioślarzy) zatrzymał się dopiero o milę o wielki zator z gałęzi i pni. Uderzenie było bardzo silne, wóz ześlizgnął się na sam brzeg tratwy i zatrzymał się o grube brewno przymocowane wpoprzek promu. Gdyby zator tworzyły nie konary drzew, lecz kamienne porohy, jak to się często spotyka, to wóz byłoby zmiotło z promu, jak piórko, a nawet prymitywnie zbudowany prom mógłby był rozpaść się.

Odcinek Reï Bouba — Garon nie przedstawia nic osobliwego. Wszędzie tu wszechwładnie panuje Islam, łącząc wszystkie szczepy tubylcze w jedną wielką rodzinę.

Zrobiłem wiele zdjęć, podziwiając wielką urodę kobiet i wspaniałą atletyczną budowę mężczyzn. Tubylcy posiadają konie, bydło i wielbłądy, są dostatnio z arabska ubrani. Mało się spotyka pieszo tułających się murzynów, posiadających za cały majątek brudną szmatę wokoło bioder, kolczyk w uchu oraz dzidę w ręku. Są dumni i ambitni, rozumni i chytrzy, gościnni i krwiożerczy, ufają w swą siłę, w duchu nienawidzą białych, chociaż im przyznają bezsprzeczną wyższość. Wodzowie poszczególnych szczepów mają nieograniczoną władzę, posiadają piękne domostwa, wielkie stada, dużo ziemi, sto żon i niezliczoną ilość dzieci, których nawet nie usiłują liczyć lub rozpoznawać.



Typ arabizowanej murzynki z okolicy jeziora Tchad

W najbliższej okolicy jeziora Tchad udało mi się zwiedzić królewskie domostwa i zbliska przyjrzeć się życiu w haremie, co dość rzadko przypada w udziale białym podróżnikom.

*



Chata murzyńska w Kamerunie

Garon — to duża osada, malowniczo położona nad rzeką Kebbi, w dolinie otoczonej wzgórzami. Stoi tu bataljon Senegalczyków, jest parę dobrze zaopatrzonych faktorji, gdzie dostałem benzyny i oliwy w najlepszym gatunku. Komendant bataljonu mówił mi, że istnieje projekt budowy kolei między Garon a Bangor, stolicą Kamerunu i A. E. F. (Afrique Equatoriale Française). Wogóle brak kolei oraz dróg bitych bardzo dotkliwie daje się odczuwać w tych stronach.

Po noclegu w Garon przez Guider Maona bez zatrzymania staję w Mora, dużej osadzie, gdyż lutuję zepsutą chłodnicę. Stąd dwa dni drogi dzieli mnie od Fort Lami, miasta o dużem znaczeniu strategicznem i handlowem.

Gorąco w tych stronach przechodzi wszystko, com dotąd przeżywał. Ognisty oddech bezkresnej Sahary pali płuca, wysusza język, powoduje kompletny zanik sił i brak apetytu. Podczas południowego postoju zauważyłem śpiącego dużego węża (trigonocephale), którego jeden z bojów zabija sagają i ściąga z niego skórę. Nigdzie kropli wody, deszcz pada w tych stronach parę razy do roku i gdyby nie głębokie rzeki, wpadające do Tchadu, kraj ten byłby równie pusty, dziki i wyludniony, jak Sahara.

O jezioro Tchad toczyła się w końcu 19 stulecia walka między Anglikami, Niemcami i Francuzami. Niemcom szło o otwarcie drogi między Kamerunem a Tripolitanią, Anglicy pragnęli połączyć Egipt z Nigrem, Francuzi zaś mieli tu bazę swych posiadłości kolonialnych Afryki. Już w czasach antycznych Ptolomeusz oraz geolo-gowie arabscy wspominali o tem wielkiem jeziorze. W 1823 r. opisali je Deuham i Clappeton, następnie Owerseg, Nachtigal i Monteil (między rokiem 1851 a 1892). Badacze ci kolejno na czele rojnych wypraw rozbijali namioty u brzegów jeziora.

Dopiero trzej wielcy podróżnicy francuscy, Gentil, Foureau i Lamy, ostatecznie zawiesili trójkolorową banderę Francji na prymitywnym Forcie, nazwanym Lamy.

Toczyły się tu bardzo krwawe walki z sułtanem Rabbach, którego nazywają Atyllą Tchadu; w 1891

roku cała ekspedycja Crampel'a ginie od jego ciosów; w parę lat potem Bretonnet z całym oddziałem zostaje przez niego wycięty do nogi. Bretonneta, ciężko rannego, z rozkazu straszliwego sułtana dobito chłostą, trwającą dziesięć godzin. Nadludzkim wprost wysiłkiem sprowadzono z Francji dużą łódź motorową, nazwaną Leon Blot; poszczególne części w skrzyniach przeniesiono na głowach murzyńskich. Łódź ta w wielkiej mierze przyczyniła się do poskromienia hord Rabbaha, krążąc po rzece Bari, między Fort Lamy i Fort Archambault, uzbrojona w trzy armatki 80 mm.

Decydująca bitwa pod Kuno dała zwycięstwo Francuzom. Rabbah padł, lecz Lamy przypłacił śmiercią swoje męstwo. W Forcie opowiadano mi przebieg owej bitwy, podczas której francuzi dokazali cudów waleczności, w obliczu olbrzymiej przewagi liczebnej wroga.

Fort Lamy cały tonie wśród pięknych drzew egzotycznej flory afrykańskiej. Ruch na ulicach jest znaczny. Duże i bogato zaopatrzone faktorje nęcą oko blaskiem europejskich świecidełek. Stawiam maszynę pod wielkiem drzewem, pod którem zmarł komendant Lamy.



Zator z konarów na rzece Reï

Spotykani tubylcy imponują swoją postawą, pięknemi rysami twarzy, bogatemi sukniami. I tu kobiety są bardzo ładne; wąskie usta, orle nosy, wielkie czarne oczy dają im wyraz dumny i nieprzystępny. W jednej faktorji jest stałe rendez-vous białych. Tam się je i pije, tam się zawiera tranzakcje handlowe, stamtąd idą plotki i nowiny. A nazbyt często bójka kończy się wyniesieniem trupa z czeluści tej spelunki.

Dziwaczne spotkałem tam typy awanturników i wykolejeńców, ludzi gotowych na wszystko. Poznałem nawet całe towarzystwo męskie (damy nie odwiedzają tej faktorji) i tam wtajemniczono mnie we wszelkie sekrety polowania w tej okolicy.

(D. c. n.). *Wojciech Marylski*

AMERYKA BEZ PIENIĘDZY

W poszukiwaniu nabywców malarze wystawiają swe prace na ulicach Chicago

AMERYKA BEZ PIENIĘDZY

Jak sobie radzono w tygodniu „święta bankowego"

Mamy przed sobą plik dzienników amerykańskich z okresu święta bankowego na początku marca, w tygodniu po inauguracji nowego prezydenta Roosevelta. Odzwierciadlają one życie wielkiego kraju w najbardziej krytycznej chwili od zakończenia wojny. Stany Zjednoczone, najpotężniejszy organizm gospodarczy świata, znalazły się bez gotówki, banki zamknęły swoje kasy, drobnych zabrakło, krążyć zaczął pieniądz zastępczy w najróżniejszej postaci. Skomplikowany aparat gospodarczy studwudziestomiljonowego narodu pozbawiony został na cały tydzień swojej siły pędnej — pieniądza.

A jednak życie poradziło sobie stosunkowo łatwo z trudnościami bezpieniężnego okresu. Amerykanie okazali się społeczeństwem niezwykle zdyscyplinowanem i spokojnem. Paniki nie było. Zastosowano się błyskawicznie do wymagań ciężkiej chwili. Nauczono się żyć bez pieniądza.

Należy oddać sprawiedliwość kierownikom życia gospodarczego, że dali oni dobry przykład rozumu, spokoju i ofiarności. W pismach ukazały się ogłoszenia największych firm, nawołujące publiczność do nieprzerywania zakupów, zawiadamiające stałych klijentów, że kredyty są nadal otwarte, ostrzegające przed poddawaniem się nastrojom niewiary i zniechęcenia. Na całą wielką kolumnę „Times'ów" dom towarowy Macy ogłasza manifest do swojej klienteli i swoje wyznanie wiary: ufamy naszemu rządowi, ufamy naszym bankom, staramy się pracować jaknajnormalniej, nie stracimy głowy.

Pewna wielka restauracja, biorąc pod uwagę fakt, że wielu ludzi nie mogło nabywać produktów żywnościowych z braku gotówki, zaczęła wydawać obiady do domów, rodzinne obiady na dwie, trzy, cztery osoby, — i to wszystko na kredyt. Sama naturalnie otrzymywała produkty na kredyt również, i w ciągu tych paru krytycznych dni robiła świetne interesy.

Kredyt we wszelkiej postaci wdarł się do dziedzin życia, gdzie dotąd nigdy nie był do pomyślenia. Jedynie bodaj koleje nie chciały przyjmować czeków. Linje okrętowe i lotnicze sprzedawały bilety za czeki, zachęcając nawet publiczność do wycieczek i podróży — bez wydawania gotówki.

Ponieważ rząd w ostatniej chwili postanowił nie dopuścić do wydania powszechnie obowiązującego pieniądza zastępczego, krążyć zaczęły t. zw. „scrips", czyli bony, puszczane w świat na własną odpowiedzialność przez prywatne firmy, przez banki, ba, nawet przez zakłady naukowe. „Daily Princetonian", dziennik uczniów znanego uniwersytetu w Princeton, puścił swoje własne „scripsy" dla studentów. Bony po 25 centów bardzo życzliwie były przyjmowane w sklepach wzamian za żywność i t. p.

Pewne wielkie przedsiębiorstwo żywnościowe, ze setką sklepów, rozrzuconych po całym Nowym Yorku, wydało książeczki z kuponami, wymienialnemi na produkty. Za książeczkę płaciło się czekiem.

Całe społeczeństwo jakgdyby umówiło się okazywać sobie wzajemnie jaknajwiększe zaufanie. Ludzie ufali sobie bardziej w dniach ciężkiego przesilenia, aniżeli w okresie najwspanialszego „prosperity". Wszędzie występował ten objaw, w hotelach, gdzie pozwalano klientom bez grosza pieniędzy mieszkać cały tydzień na kredyt, w teatrach, gdzie za bilety brano kartki z podpisem pod zobowiązaniem zapłacenia po otwarciu banków, nawet w sądach, gdzie odraczano wszystkie sprawy, które mogły się zakończyć karą pieniężną, niewypłacalną w tych wyjątkowych okolicznościach...

„Business as usual" — było hasłem Amerykanów: interesy idą trybem normalnym. Interesy rzeczywiście były prawie normalne. Ameryka zdała egzamin dojrzałości w tym krytycznym tygodniu. Po otwarciu kas bankowych, znosząc ukryte złoto i banknoty, obywatele w duchu musieli stwierdzić, że tak silne uderzenie, jak zawieszenie czynności bankowych, było bardzo pożyteczne. Kraj udoskonali swój system bankowy i na przyszłość będzie korzystał z cennego doświadczenia „banking holiday'u".

J.



Pieśni ułana poety

A gdy po wielu latach tęsknoty zjawiły się znów mundury narodowe i srebrne orły na kaskach żołnierzy, poczęła się snuć nowa legenda romantyczna.

A znamienitym przedstawicielem tej epopei pieśni i oręża jest przedwcześnie zmarły poeta-żołnierz, Józef Mączka, autor jednego tylko zbiorku poezji p. t. „Starym szlakiem".

Józef Mączka, ułan 2 pułku ułanów Wąsowicza, uczestników szarży pod Rokitną, nie miał nawet czasu na spisywanie swych wierszy na blokach meldunkowych, składał pieśni i przechowywał je w pamięci, a dopiero na żądanie swego dowódcy, ówcześnie chorążego dr. Olgierda Górki, utrwalił je w piśmie.

Zbiór wierszy I. Mączki jest nie tylko djarjuszem uczuć żołnierskich, ale doskonałym obrazem atmosfery legjonowej, która umiała stworzyć najśliczniejszy typ bohatera, jakiego kiedykolwiek wydały dzieje.

A w atmosferze tej pomieszała się w przedziwną harmonję lekkomyślność dawnych zagończyków kresowych z głębokim liryzmem, melancholją, junactwem, poświęceniem bez granic, wysoko pojmowanym honorem żołnierskim, pogardą śmierci i koleżeństwem. Cnoty te starały się pielęgnować wszystkie armje świata, wierząc, iż są one fundamentem zwycięstw. W żadnej jednak armji nie powiodło się rozwinąć tych zalet żołnierskich w takim stopniu, jak stało się to samorzutnie w Legjonach.

Oddźwiękiem tych cnót są wiersze T. Mączki.

Błędnem byłoby przypuszczenie, że pisał je samouk, natchniony osobliwą chwilą historyczną. W poezjach Józefa Mączki tkwi głęboka kultura wewnętrzna i najświetniejsza tradycja poezji polskiej. I nic dziwnego. Autor „Starym szlakiem" wychował się w środowisku mało znanem szerokiemu ogółowi a oczekującem jeszcze swego dziejopisa.

Były to gimnazja w Sanoku i w Rzeszowie, mieście rodzinnem Lisa-Kuli. Te dwa środowiska młodzieży polskiej w granicach austrjackiej Galicji tętniły bujnością życia młodzieńczego, tam wykuwały się charaktery przyszłych bohaterów, mężów stanu, uczonych, pisarzy, którzy odegrali później lub dotąd odgrywają przodujące role w narodzie. Ludzie różnych stronnictw, różnych poglądów, być może dzisiaj powaśnieni na śmierć i życie, nie mniej jednak uczciwi i szczerzy w swych poglądach, złączeni wspólnem wspomnieniem młodości.

Nie miejsce ich wymieniać, encyklopedje dokładnie objaśnią.

Z tych nurtów górnie spędzonej młodości płynie umysłowość Józefa Mączki, rycerza bez zmazy i poety o najczystszej duszy, która zabłysła jak meteor i jak meteor stoczyła się w nieśmiertelność.

W. B.

Z WYSTAWY W ZACHĘCIE



St. Dybowski „Brama Etruska w Perugji"
Fot. A. Janczewska

WŚRÓD KRAJOBRAZÓW

Malarze krajobrazów w Polsce mają swój szczególny ton, który odróżnia ich od wszystkich innych artystów.

Czyżby ziemia polska miała swój osobliwy nastrój i koloryt, jakiego nie widuje się w innych krajach?

Niewątpliwie, iż szerokość i długość geograficzna wpływa na krajobraz i jego barwę, ale najważniejszą rolę w ukształtowaniu go na obrazach odgrywa wewnętrze nastawienie malarza.

Artysta patrzy nietylko oczyma, ale całym sobą, wszystkiemi zmysłami, rozumem i uczuciem i przez ten skomplikowany objektyw przepływają dopiero obrazy.

Objektywy oczu i uczuć malarskich kilkakrotnie w dziejach polskiej sztuki ulegały różnym nastawieniom. Ostatnio uczynili to Chełmoński i Stanisławski, a malarstwo polskie współczesnej doby, zwłaszcza krakowskie, obraca się wkrąg tej tarczy, wyjątkowo tylko pozwalając sobie na nieznaczne odchylenia.

To nie jest sprawa techniki malarskiej, ale zagadnienie uczucia i wewnętrznego ustosunkowania się artysty do przyrody.

W ostatnich czasach próbowała wyłamać się z uczuciowych szablonów, jakie wyrobiły się z sztuki Chełmońskiego i Stanisławskiego, szkoła Pruszkowskiego. Próba nie powiodła się.

Ciągle liryczny smętek włóczy się po pejzażach polskich, ciągle gości w nim melancholja stepów ukraińskich i równin mazowieckich, choćby to było wśród heroicznych granitów tatrzańskich lub złej, jak jędza, fali bałtyckiej. A zgoła osobliwie wyglądają krajobrazy obcych krajów, malowane po polsku. Nie można ustrzec się porównania, iż wyglądają, jak bohaterzy słynnych powieści Lejkina, Iwan Iwanow i żona jego Głafira, w podróży zagranicą.



Wacław Piotrowski „Pan Benedykt"
Zakupiony do zbiorów muzealnych Zachęty

A macie ruski samowar? A macie polską melancholję? Niema? — Zrobi się.

I robi się mazowiecki smętek i zadumę ukraińską na Capri, w Taorminie i nad Spokojnym Oceanem, w Alpach lub Pirenejach, dźwiga się tę narodową torę polskiego pejzażysty do kraju wina i róż, przerażając nią autochtonów, którzy w tych akuratnie miejscach, gdzie polski malarz usadza przeraźliwy smutek opuszczonej figury przy drodze, zwykli śmiać się na całe gardło i rozkoszować życiem.

Idąc po salach Zachęty, I. P. S. U. czy jakiegoś innego salonu i obserwując ten właśnie rodzaj naszej twórczości, dochodzi się do przekonania, że stosunek polskiego artysty do przyrody stał się szablonowy, przeszedł w rutynę, która panuje już w trzech pokoleniach malarskich i wymaga zasadniczej przemiany lub bomby w sam środek sentymentów. Gorzej jeszcze, gdy zetknie się taka osmętniała malarska dusza z dziwem nieznanej jej bliżej przyrody, gdy olśni ją odmienna rzeczywistość kolorów, słońca lub kształtów.

Nie wierzy w prawdę nowej dla siebie treści. I powstają obrazy malarsko nieprawdziwe, spektra teatralnej panoramy, dla sztuki zbędne, dla artysty nieprzyjemne.

I znów w tej polskiej transkrypcji obca rzeczywistość nabiera fałszywych refleksów, jak opis Danji sporządzony przez Imci Pana Paska.

Przyczyna zaś tych nieporozumień nie tkwi wcale w kunszcie malarskim, bardzo często doskonałym, ba, nawet wirtuozowskim, ale w ubogiej, bo zrutynizowanej skali odczuwań artystycznych.

To jest konserwatyzm w najszkodliwszej formie owego szlachcica na zagrodzie, dotąd jeszcze obsiewającego pole ręką, gdyż nie ufa precyzji maszyny, która może się zatknąć.

*

Te refleksje nasunęły się z okazji wystawy prac Stanisława Dybowskiego w „Zachęcie".

P. Dybowski jest artystą o poważnych wartościach. Zna swój kunszt, posiada szlachetne wyczucie koloru i linji, skala jego zainteresowań artystycznych jest różnorodna, owładnęła go jednak ta sama choroba, która trapi przeważającą część jego równieśników malarskich.

Żywiąc podziw dla Chopina, Chełmońskiego, Stanisławskiego, dla jego uczniów krakowskich i poza krakowskich, dla p. Stanisława Dybowskiego i wszystkich rzetelnych wysiłków, nie można się jednak oprzeć wrażeniu, że współczesna rzeczywistość polska wymaga innych tonów i innego nastawienia psychicznego, bo czarujące fujarki zagłusza dźwięk klaksonów.

Witołd Bunikiewicz.

Technika i sztuka

Pyta jeden malarz drugiego:

— Co sądzisz o moim nowym obrazie?

— Doskonała technika!

— Nic więcej? Przecież dostałem za to malowidło cały tysiąc złotych!

— To jest dopiero sztuka, mój drogi!

PSIA ARYSTOKRACJA



Pekinka „Fuchow"



Terrier „Dandie Dinmont"



„Bloodhound"



Spaniel polowy



Tybetański pies myśliwy



Buldog

Pierwsze nagrody na największych wystawach światowych



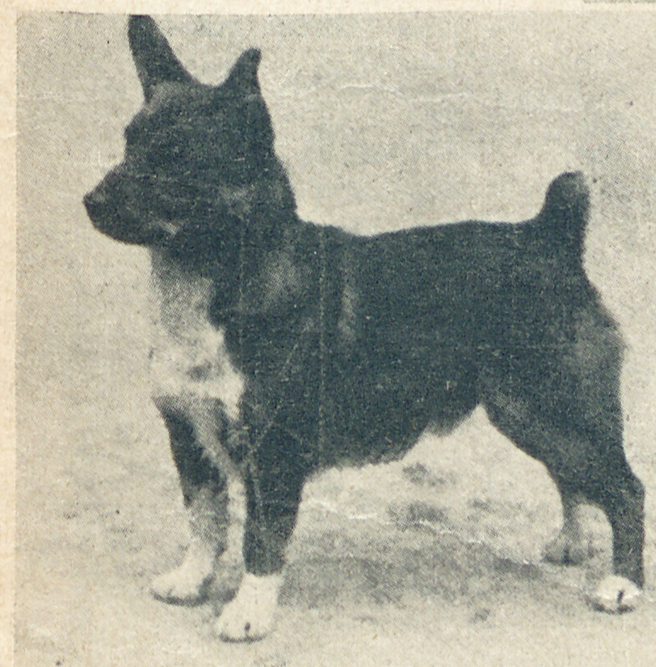
Owczarek holenderski



Lakeland Terrier



Finsk Spet



Coroi walijskie



Spaniel „Cocker"



Terrier „Kerry blue"



Owczarek alzacki

W Londynie i Nowym Yorku odbyły się przed kilkunastu dniami doroczne psie wystawy. Londyńska wystawa Crofta ma już swoją ustaloną tradycję: od czterdziestu lat p. Croft zbiera najlepsze okazy psiego rodu, z roku na rok powiększa się ilość wystawionych zwierząt i ich rozmaitość. Zmienia się moda na psy, zmieniają się modne rasy, powstają nowe przez skrzyżowanie i przez specjalną hodowlę. Kennel Club — instytucja, opiekująca się czystością psiej rasy — stale rejestruje nowe odmiany i uzupełnia swoją listę nazw: bez tej rejestracji żadna nowa odmiana nie będzie uznana przez publiczność i nie wejdzie w modę. Wystawa londyńska odbywa się pod egidą Kennel Club'u. Wystawa nowojorska jest jakgdyby uzupełnieniem londyńskiej. Wystawy te nadają ton całemu światu miłośników psów. W roku bieżącym największem powodzeniem cieszyły się spaniele i terriery. Moda na te ostatnie — a odmian ich naliczyć już można kilkanaście — nieprędko przeminie.

S.



Ostrowłosy foxterrier



Niemasz piękniejszej pory w górach, jak wczesna wiosna. Słońce praży, śnieg iskrzy się, powietrze pełne jest życiodajnych promieni. Kąpiesz się w słońcu, w śniegu, w tych cudownych, krzyżujących się promieniach, atakujących zgóry, od płomiennej tarczy na niebie, zdołu, od oślepiającego swym blaskiem śniegu, z boków, od gór i pochyłości błyszczących wszystkiemi kolorami tęczy. Wystarczy godzina ruchu gdzieś na wyżniej hali lub na stoku góry, aby osmalić się na czarno.

W dolinach śniegu już niema, w Zakopanem gorąco, jak w lecie. Gubałówka już się zazieleniła — a w górach, nad Pięciu Stawami, na Pysznej, na Gąsienicowej dopiero się zaczyna prawdziwy „wielki sezon". Narciarz, który raz poznał rozkosz wiosennego śniegu, wyczekuje z utęsknieniem pierwszego wiosennego ciepła — nie odwilży, która niszczy śnieg, która go zjada, która jest wrogiem narciarza, lecz

Zakopane w marcu



Widok na Krywań

prawdziwego ciepła promieni słonecznych, które w dolinie pochłoną cienką warstwę śniegu, a w górach przekształca go na najlepszy, najwdzięczniejszy, najcenniejszy firn.

Pod promieniami słonecznemi śnieg najpierw mięknie, wilgotnieje, a w nocy marznie, pokrywając się przykrą szrenią. Po kilku dniach następuje przemiana: śnieg jakoś pęcznieje, pokrywa rośnie, miljardy lodowatych perełek układają się w masę, po której deski suną z doskonałą łatwością i szybkością.

Dopiero na wiosnę narciarz-turysta czuje się w swoim żywiole, dopiero wtedy może pokonać wszelkie trudności terenu, dopiero wtedy otwierają się przed nim zakazane w ciągu zimy przełęcze i szczyty. Turystyka wiosenna wymaga jednak wielkiego doświadczenia. Trzeba znać góry i znać śnieg. Na narciarza czyha niebezpieczeństwo lawin wiosennych, przed któremi ucieczka jest bardzo trudna. Ka-



Wioska góralska Audibergue o 50 klm. od Cannes, na Jasnym Brzegu

mień pod Kościelcem po drodze do Czarnego Stawu, z wyrytem na nim nazwiskiem ofiary lawiny ś. p. Mieczysława Karłowicza — jest groźnem memento dla turysty...

A i w samem Zakopanem, gdzie śniegu już niema, wczesna wiosna jest bodaj najlepszą porą odpoczynkową. Słońce i powietrze wtedy najintensywniej pracują dla zdrowia ludzkiego.

F. R.

W LEGOWISKU LAWIN



Potężne nawisy wiszące na grani Koszystej

Odmłodzone schronisko przy Pięciu Stawach Polskich zasypane jest śniegiem, narciarzami, wrzawą.

Miękki, kopny śnieg głęboką warstwą zalegał góry. Łatwo i lekko zagrzebywał mnie puszysty, biały popiół, gdym mijał kotły Czarnego i Zmarzłego stawu. W Starym Zawracie burzył się i wzdymał ciężki, zmiękczony żywioł, który nogi drążyły bez oporu, do dna, i który uginał się jednostajnie i bezsilnie. Pot spływał z czoła, mięśnie odrabiały żmudną pańszczyznę — miałem ponad sobą gładki, niczyją teraz stopą nie tknięty spływ śnieżny — kopałem w nim zygzakowaty, zrezygnowany rów wejścia, aż w wiele godzin przebiłem się nim przez przełęcz.

Dni były zmienne, śnieg podsypywał schronisko, białe płaty dolin i szkliste, olodzone szczyty. Porywiste wiatry przewiewały śnieg z miejsca w miejsce, ze zbocza na zbocze, z wierchu na wierch. Potworzyły się zaspy, wydmy i suche, żółte spłachcie. Umawiam się z towarzyszem na jednodniowy wypad ku turniom.

Przyszło słońce, założyliśmy raki i poszliśmy w Dolinę Buczynową, ów piękny wiszący cyrk polodowcowy u stóp Granatów i Buczynowych Turni. Głucha, zapadła dolinka świeciła śnieżną, słoneczną pustką. Nawet latem zrzadka zwiedzana — zdaleka bywa omijana w zimie. Eksponowana jest bowiem ku południu i narażona na wielkie niebezpieczeństwo lawin. Dobrze zresztą wiedzą wszyscy turyści, że otoczenie dolin Buczynowej i Roztoki przedstawia najbardziej lawiniasty teren z całych Tatr Polskich.

Chyłkiem przekradając się wpoprzek stromego, podstępnego zbocza, dotarliśmy do serca doliny, czem zachęceni postanowiliśmy rozwiązać jakiś taternicki problem zimowy, t. j. zdobyć teren skalny jeszcze przez nikogo zimą niezwiedzony. Nawinęły się szeroko rozgałęzione, południowe stoki urwistego szczytu Małej Buczynowej Turni. Krótkim, zaśnieżonym żlebem wydostaliśmy się na wybitną boczną grań, zamykającą Dolinę Buczynową od wschodu. Granią tą, poprzez kilka igieł, zębów i wciętych między nie siodełek, osiągnęliśmy nareszcie wierzchołek, 2175 m.

Byliśmy drugą partją turystyczną, której — w dwadzieścia lat po zdobywcach — udało się ponownie wejść na ten szczyt; byliśmy pierwszymi, którzy go osiągnęli wprost z Doliny Buczynowej. To wszystko!

Pogoda zmieniała się w oczach. Z rozgrzanego słońcem nieba spływało coraz mniej światła. Z dalekich dolin, z za Krywania, dolatywało coraz więcej chmur rwanych wiatrem. Wreszcie poczęły się zbierać i bezpośrednio wdole, na wylemałych uboczach Pańszczycy i w głębokich leśnych wądołach Roztoki, pełzać po ścianach i żlebach, dosięgać nas. Wiatr zasłonił widok mglistą zasłoną. Jeszcze przez jej fałdy przeszklił się połamany grzebień Bielskich Tatr — i już z białej fali poczęły się odrywać płatki i smużki, zrazu pojedyncze, powolne, skulone — ale już coraz prędsze i coraz częstsze...

Trzeba szybko schodzić! — znowu rozwijamy zwiniętą linę. Połamany progami, ale teraz śnieżny ciasny żleb powiódł nas prosto ku kosodrzewinie i świerkom Roztoki. Im niżej, tem słabiej rozpylała się biel śnieżna — aż gdy dosięgnęliśmy brył ściany Doliny Buczynowej i zawróciliśmy ku nim ostro wprawo — wiatr do reszty przewiał mgłę, i z pod rozdzieranych, zwijanych, osychających obłoków zpowrotem wychyliły się znajome kształty Świstówki, Opalonego, Koziego Wierchu. Teraz jeszcze powrotna niebezpieczna strefa lawiniastej śmierci, którą nieuchronnie przejść musimy. Podsuwamy się, patrzymy. Zdumienie nas ogarnia: stok jest przecież zupełnie inny, niż zrana. Jakież piekło musiało się tu rozpętać koło południa! Albowiem szlak naszej drogi porannej leżał cały w gruzach, i wyglądał, jak pobojowisko, albo, ściślej, jak grunt przeorany pługiem. Kilkanaście desek śnieżnych i lawin, większych i mniejszych, szerszych i węższych, śmigłych i powolnych, jak walec parowy, przeszło przezeń, przebiło się, przeryło. Przez ramię Koziego Wierchu, przez wodospad Siklawy wbijały się wszystkie fale we wklęsłą zapadłość Roztoki: nie byłoby poco wysyłać ekspedycji ratowniczej.

Do schroniska weszliśmy pod świeżem wrażeniem spóźnionego strachu. Powitano nas z huczną radością. Rozpoczęła się nanowo narciarska zabawa, beztroska i młoda.

J. A. Szczepański.



Art. dram. Kazimiera Skalska, w pełnem słońcu przed schroniskiem na Hali Gąsienicowej Fot. Marjan Fuks

NARTY NA RIWIERZE

Cannes, w marcu

Od dwóch lat — co piątek — w willi położonej nad morzem w Cannes zbierała się grupka zagorzałych alpinistów, by omówić wspólnie niedzielną wycieczkę. Latem były to wyprawy na zdobycie wierzchołków — zimą organizowano narciarskie zawody.

O 50 klm. od Cannes i mniejwięcej o tyleż od Nicei zaczynają się świetne tereny narciarskie, które ciągną się na ogromnych przestrzeniach w głąb Alp nadmorskich.

Członkowie tego małego klubu początkowo dzielili auta, by wspólnym kosztem zajechać jaknajdalej — pożyczali sobie nart etc. — Radzili sobie, jak mogli — była to bowiem przeważnie nie nazbyt zamożna tubylcza młodzież.

Zapał ich sprawił cuda. W górach pobudowano schroniska, a w Benil o półtorej godziny autem od Nicei powstał, jak różdżką czarodziejską wywołany — doskonały nowoczesny hotel. Stoi on na cudownej, lesistej płaszczyźnie na 2000 m. ponad morzem.

Obecnie klub alpejski w Cannes liczy już przeszło 200 członków. Przewóz uskutecznia się autobusami. Rankiem opuszcza się kwiaty i ciepło — w ciągu dnia uprawia się sporty zimowe — a wieczorem wraca się znów do mimozy, róż i kwiatu pomarańczowego!...

St. Jan.



Gdy ciemność zapada

(Rysunki Ignacego Makomaskiego)

Gdy ciemność zapada i światła latarń zapłoną.. jak brzmi popularna ongiś przed laty piosenka, zmienia zasadniczo swoje oblicze miasto. Pstrokolorowe wystawy nikną za żelaznemi żaluzjami, lub drewnianemi okiennicami, porządnych ludzi noc zgarnia do domów, a z zakamarków wypełzają kawalerowie księżyca, ich damy i ci, którzy zbyt często lubią zaglądać do kieliszka. A wiadomo, że tam, gdzie odchodzi zabawa, nie trudno o konflikt ze „spokojem publicznym", łatwo o zakłócenie „porządku", czy inną jakąś awanturę.



I kiedy solidni, spokojni mieszkańcy śnią słodko o wygranej dolarówce, wykupionych wekslach, rozkosznych podróżach po Florydzie, czy innem Honolulu, w komisarjatach zaczyna się ożywiony ruch. Co chwila zawadza o nie jakiś gość, który zabardzo zajrzał do butelki, zrobił awanturę pod wpływem pijackiej fantazji, jednem słowem zakłócił spokój.

Duża, mroczna sala komisarjatu. Kilka żarówek rozświetla mroki, biurko dyżurnego przodownika, telefon, ociężale, apatycznie cykający zegar. Większa część pokoju oddzielona drewnianą barjerą, za którą do rana siedzą ci, którzy będą przekazani urzędowi śledczemu. Obok długa twarda ława dla delikwentów jeszcze nieprzesłuchanych i nieposegregowanych.

Apatycznie coś mruczy zegar, leniwie snuje się sinawe pasmo dymu z papierosa. Kilku posterunkowych poważnie i z przejęciem prowadzi dyskusję o egzaminach policyjnych, kodeksach. O tem, co trzeba umieć i znać, by dobrze pełnić swoją służbę. Rozmowę przerywa potężne chrapanie, rozlegające się z za barjery. Rozciągnięty na ziemi śpi smacznie brodaty mężczyzna. Zimne światło lampki elektrycznej rzuca sinawe cienie na strzępy łachmanów i twarz pokrytą skorupą brudu. Bezdomny i bezrobotny nędzarz. Dla niego noc w komisarjacie to przyjemność. Ciepło, sucho i spać spokojnie można do rana.

Nagle z trzaskiem otwierają się drzwi i rozlega się donośne powitanie:

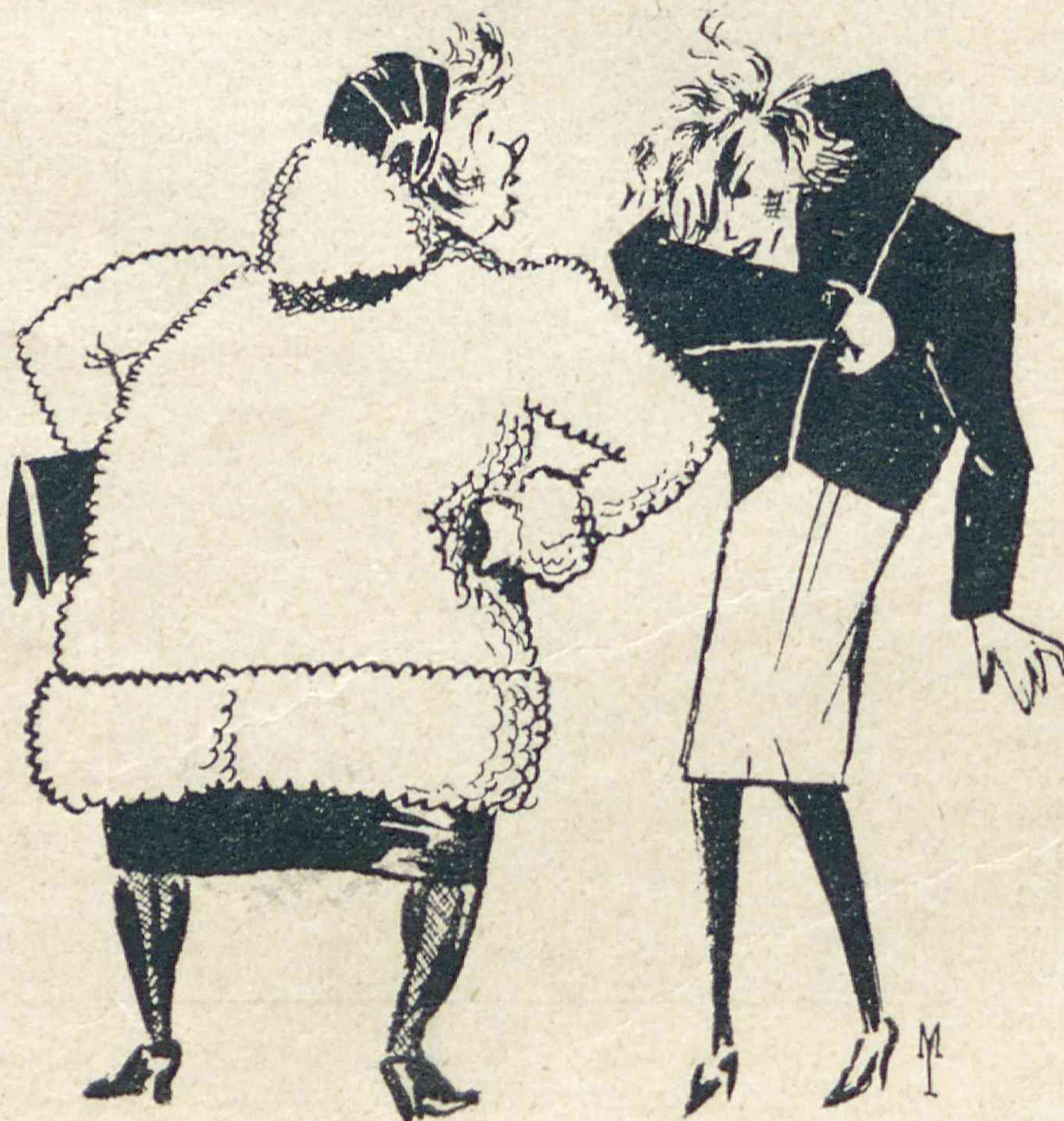
— Panowie czołem!... moje uszanowanie!... Cześć!... Czuwaj!...

Do sali wchodzi, a raczej wtacza się na mocno chwiejnych nogach pocieszna figurka. Kapelusz zawadjacko zsunięty na czubek głowy odsłania jasne, koloru słomy, zmierzwione poszycie, zadarty nosek, w szparkach oczu pijaka zaczepność. Pasażer wlany, jak to się mówi, na perłowo. Czuje się dotknięty w ograniczeniu swoich swobód obywatelskich. Z palcem do góry wzniesionym krzyczy:

— Ja z pierwszej brygady jestem!... Walczyłem jak lew w Karpatach w 1919 roku!... Łeb urwę Hitlerowi... rozbiję w puch Niemców, Włochów i Węgry, a wtedy zobaczymy!... Ja panu, panie władza, przyniosę fotografję, na której jest napisane...

„Władza" uśmiecha się pobłażliwie.

— Dobrze, ale gdzie napisane, żeby w urzędzie nie zdejmować kapelusza?...



— O, to mądre słowo! Nigdzie nie napisane, wobec tego zdejmuję!

Zaczyna się normalne przesłuchanie. Imię, nazwisko?...

— Franciszek Maślacz, mistrz krawiecki...

— Ile lat?

— Tysiąc osiemset dziewięćdzie...

— Panie, pytam się, ile masz pan lat?

—Tysiąc osiemest dzie..

Po spisaniu protokułu i licznych pogróżkach, że z Hitlera jeden cały włos nie pozostanie i po telefonicznem sprawdzeniu w odnośnym komisarjacie, że pan Maślacz jest na ogół obywatelem statecznym, o ile nie zajrzy do kieliszka, zwolniono go.

Lecz nie miał szczęścia tej nocy imć Franciszek Maślacz, mistrz krawiecki. W dwie godziny później, w innej dzielnicy miasta powędrował znów do innego komisarjatu, gdzie po wygłoszeniu wspaniałej, antyniemieckiej mowy, przespał się do rana.

* * *

Ciszę przerywa piskliwy jazgot na schodach. Do komisarjatu przyprowadzają dwie potargane i zacietrzewione kobiety. Te najbiedniejsze, najnieszczęśliwsze ofiary miasta. Pobiły się. O co? Przeważnie powody bywają jedne i te same. Konkurencja zawodowa, zazdrość o jakiegoś „niego", nadmiar alkoholu. Jedna rosjanka, druga rodowita warszawianka, młoda, lecz już sterana uliczną nędzą dziewczynina.

— Co się stało?...—pyta dyżurny przodownik.

— Nic się nie stało... — odpowiada czupurna rosjanka — w pysk dostała i wsio w porzondkie...

Podczas spisywania protokułu biedne strzępy kobiece przyskakują do siebie, wypominają sobie różne krzywdy i pretensje. Z ust, które przed kilku jeszcze laty umiały naprawdę całować i szeptać słowa cichej pieszczoty, wypływa kaskada przekleństw. Słów strasznych, potwornych, jakich nie znajdzie się w żadnym słowniku, a które wylęgły się na samem dnie wielkomiejskiego bagna.



Rosjanka, jako sprawczyni awantury, zostaje zatrzymana. Przodownik łagodnie, dobrotliwie zaczyna jej tłomaczyć, żeby nie robiła skandalów, nie biła koleżanek. Z całej rozmowy widać, że Wierczka dość często odwiedza komisarjat. Zresztą czuje się tu, jak u siebie w domu. Wyjętym z torebki grzebykiem porządkuje fryzurę i jaskrawą pomadką robi wargi.

Słucha od niechcenia, z pogardliwem wydęciem ust.

— Wsio rawno... ten nomier nie prajdiot!... Ona jutro jeszcze lepiej dostanie!...

— I znowu panią zabiorą do komisarjatu... — mityguje dyżurny.

— Uwwa!... Nie zabiła, nie ukradła, to się policji nie boję... Najwyżej zapłacę dziesięć złotych za protokuł... stać mnie... a ona swoje dostanie!... Już ona mnie popamięta, skatina!...

* * *

W innym znów komisarjacie na ławce siedzi, a raczej kiwa się pulchniutki, podtatusiały jegomość. W okrągłych, zamglonych oczkach morze skargi i wyrzutu. Obok ponury jakiś dryblas z postawionym kołnierzem letniego, wybrudzonego palta.

— Za co pana wzięli? — pyta.

Dwunogi serdelek uśmiecha się ze zjadliwym sarkazmem.

— Za to, że jestem patrjotą... dobrym obywatelem, że dbam o państwo... Boga nima na niebie, a sprawiedliwości na ziemi. Powidz pan, coby kraj robił bez monopolu?...

Dryblas wzrusza pogardliwie ramionami.

— Nie wiem. To nie mój fach. Niech się inne martwią.

— To ja panu powiem. Monopol jest na to, żeby skarb miał forsę. A jak człowiek, dobry obywatel, wypije jeden i drugi, żeby krajowi dopomóc, to zaraz komisarjat! To ma być sprawiedliwość?! Czy to Ameryka, żeby za swoje, dla ojczyzny z pożytkiem wypić nie można?!... Dlatego jest tak źle na świecie, że zrozumienia nima... Jest wolność, czy nie? — ryczy na całe gardło ofiara lojalności.

— Jest, jest... tylko trochę ciszej panie łaskawy — upomina dyżurny.

* * *

Lecz nie brak i typów makabrycznych. Za barjerą, tuż koło pieca, z nisko opuszczoną głową na łachman starego żakietu, śpi jakaś kobieta, trzymając w bezwładnych rękach półnagie, kilkomiesięczne dziecko. Jest coś tragicznego w tym strzępie ludzkim, w beznadziejnem skuleniu ciała, w rozstawieniu osłabionych nóg. Alkoholiczka. Niemal wszystkie noce spędza w komisarjatach, zabierana za notoryczne pijaństwo. I co rok, to prorok. Dzieci wychowuje ulica i komisarjat. Żżera je nędza, choroby. Jedno umiera i rodzi się drugie. Tak już od szeregu lat. O świcie wyjdzie na miasto, użebrze kilka groszy, a w nocy przyprowadzą ją znowu zupełnie pijaną z głodnem, półnagiem dzieckiem.

* * *

Zjawia się większe towarzystwo.



Dwóch mężczyzn dobrze pod gazem i zaaferowany kelner. Też historja banalna, codzienna. W barze „Pod złotą kaczką" zjedli, wypili, a jak przyszło do płacenia, okazało się, że obaj kamraci mają 20 gr. i abonamentowy bilet tramwajowy z jednym jeszcze przejazdem. Zwyczajni, t. zw. w gwarze brukowej „szalbierze".

Protokuł, a potem sprawa sądowa.

— Panie... czy to ładnie pójść do knajpy i nie zapłacić? — pyta przodownik.

— Zapłaciłbym, panie władza, jak pana szanuję, tylko nie mam czem... — zapewnia gorąco jeden z winowajców. Zresztą znają mnie... nie rozumiem, co się stało panu Antoniemu, zaraz takie hece wyrabiać i poprządnego człowieka po cerkułach ciągać. Powiedziałem, że oddam to oddam...

Pan Antoni obrusza się z irytacją.

— Już ja znam takie oddam... Kamienice bym wystawił za te pieniądze, co mnie takie goście ponabirali.

— Jak pan nie ma pieniędzy, to dlaczego pan chodzi po restauracjach? — zabiera głos przedstawiciel władzy.

— Bez te żałość, panie komisarzu... Jak się patrze, co się teraz wyrabia na świecie, to aż mnie coś pali we środku... Bezrobocie... kryzys... podatków ludzie nie płacom, nędza, że aż strach... Muszę się napić, bo mi serce kraje się na kawały...

* * *

Starszy otyły żyd. Blady ze strachu i zdenerwowania. Na dużej łysinie zakrzepnięte płaty krwi. Czekał na przystanku na ostatni tramwaj, kiedy podbiegło do niego trzech drabów i pobiło. Jednego z nich zna. Wierzyciel, który w ten sposób postanowił zdyskontować zaprotestowany weksel.

Raz za razem dźwięczy telefon. W lśniącą tubkę padają suche rozkazy. Pogotowie. Urząd śledczy. Taki a taki komisarjat. Za godzinę metaliczny głos dzwonka. Przodownik podnosi słuchawkę i po chwili oświadcza pobitemu:

— Napastnicy aresztowani, jedź pan do domu...

* * *

Dwaj posterunkowi sprowadzają siłą awanturującego się młodzieńca w rozpiętem palcie i rozwiązanym krawacie.

— Co to za porządki?!... Ja was tu nauczę!... Aresztować mnie? Dyrektora?! Jutro pojadę do mego przyjaciela ministra i śladu z was tu nie będzie! W tej chwili zadzwonię do komendanta!...

Lecz groźbami nikt się nie przejmuje. Okazuje się, że „dyrektor" jest w rzeczywistości podmajstrzym murarskim. Ostry atak szału, wywołanego alkoholem, kończy się wreszcie kaftanem bezpieczeństwa i izolowaniem w celi aresztu.

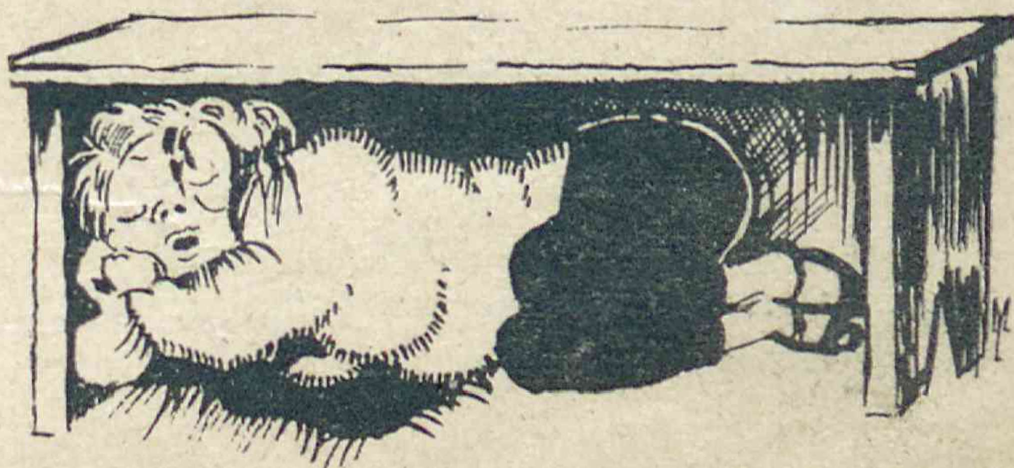
* * *

Przesuwa się galerja typów, przeważnie pijackich, najczęściej wesołych, dobrze podgazowanych, niekiedy melancholijnych i ponurych. Rzadziej bójki i rozprawy nożowe, zresztą zależy wszystko od dzielnicy.

Jedni zjawiają się tu po raz pierwszy i ci są zażenowani, niespokojni, starają ukrywać się w cieniu. Inni czują się jak u siebie w domu, witają dyżurnego jak dobrego znajomego.

Bo, gdy ciemność zapada i światła latarń zapłoną, miasto zaczyna pulsować niespokojnem życiem, któremu na imię występek, a niejednokrotnie nawet i zbrodnia.

Jan Sokolicz-Wroczyński



ANDRÉ SAVIGNON

Duch samobójczyni

W Bristolu, gdzie byłem przejazdem,— opowiadał mi John Maitland — przypadek zawiódł mnie pewnego wieczoru do maleńkiego baru na peryferjach miasta. Zastałem tam kilku znajomych. Rozmawiali z jakimś nieznanym typem na oklepany temat duchów, strachów i t. p. zjaw z „tamtego świata". Ich rozmówca zdawał się mieć wielkie doświadczenie w tych sprawach. Opowiadał rzeczy zdumiewające a niemniej prawdopodobne. Zainteresowanie, z jakiem słuchałem go, wzmogło się, gdy zrozumiałem, że ten człowiek wiele czasu poświęcał poważnym i systematycznym studjom nad zjawiskami nadprzyrodzonemi.

I nigdy się pan nie bał? — przerwał mu jeden z nas.

Pytanie to i mnie cisnęło się na usta. Rzeczywiście, czyżby przebywanie „za pan-brat" z duchami pozbawiło go naturalnego uczucia strachu? Przyjrzałem mu się uważniej. Był to człowiek bardzo chudy o atletycznej budowie. Nosił długi gabardinowy płaszcz. Twarz miał surową, a nawet może smutną, pełną skupionej, ukrytej namiętności.

Przez chwilę utkwił ciężki, poważny wzrok w pytającego.

— Tak. Doświadczyłem raz podobnego uczucia i to — w biały dzień!

Tu rozpoczął opowiadanie, które, jak sobie przypominam, brzmiało następująco:

Jechał pewnego dnia na rowerze. Na 12-ym kilometrze od Northampton wyprzedził go jakiś szaro ubrany cyklista. Człowiek i maszyna ociekali literalnie wodą. Zaintrygowało go to, ponieważ dzień był wyjątkowo słoneczny i ciepły. Nacisnął energiczniej pedały. Jednak odległość między nim a poprzedzającym go rowerem nie zmniejszała się, chociaż wytężył całą siłę swych mięśni, a człowiek przed nim jechał równomiernie, nie zmieniając zupełnie szybkości.

Dosięgnęli wreszcie, nie zwalniając jazdy, ostrej pochyłości. W pewnej chwili, z za zakrętu, wyłonił się niespodziewanie wielki, ciężarowy wóz. Pędzący przodem cyklista wpadł na wehikuł.

Nasz rozmówca na ten widok krzyknął z przerażenia, zeskoczył ze swej maszyny... I wtedy... — Wtedy stała się rzecz niepojęta. Cyklista, któremu chciał przyjść z pomocą — zniknął. Rozwiał się poprostu, jakby się stał nagle czemś niematerjalnem.

— Wiadomości, jakie udało się zebrać, głosiły, iż przed mesiącem znaleziono w tem właśnie miejscu trupa ubranego szaro cyklisty. Przyczyny wypadku nie ustalono. Przypuszczano tylko, że nieszczęśliwy poślizgnął się na mokrym od deszczu asfalcie, łamiąc podstawę czaszki.

*

Człowiek w płaszczu skończył. Spojrzał na zegarek. Powstał. Wiedzieliśmy, że chciał się zająć bliżej niepokojącą sprawą zjawisk, które rozgrywały się w sąsiednim domu. Czterech już podobno lokatorów, jeden po drugim, opuszczało budynek, w którym „straszy".

— Jeżeli macie ochotę, panowie, — rzekł z bladym uśmiechem, zwracając się do nas, — proszę, chodźcie za mną.

Przyjęliśmy we trójkę z radością jego zaproszenie. Okazał dość chłodne zadowolenie. Wydał mi się nieco zdenerwowany.

W drodze zwierzył się nam, że możemy mu tam być potrzebni. Zrozumiałem, że nasza obecność będzie trzymała w przyzwoitem oddaleniu zbyt dużą ilość duchów, z któremi musiałby sam stoczyć nierówną walkę. Mieliśmy mu sygnalizować lekkiemi gwizdnięciami każde podejrzane zjawisko.

Weszliśmy w smutną, mało zaludnioną Norton Street. Tu, wśród pustych placów, otoczonych ogrodem, stał tajemniczy dom. Nigdy nie widziałem czegoś bardziej niepokojącego nad tę upiorną kamienicę.

Zajęliśmy przeznaczone nam miejsca. Nasz przewodnik po wymienieniu kilku niezrozumiałych zaklęć zbliżył się majestatycznie do „nawiedzonego" domu. Uchyliwszy jedno z parterowych okien— wślizgnął się do wnętrza.

Cisza. Zamarliśmy w oczekiwaniu. Czarną, jak smoła, noc przerywały gdzieniegdzie nikłe punkciki gazowych lamp. Czas wlókł się niemożliwie w niepokojącej ciszy w denerwującej atmosferze oczekiwania. Byłem rozczarowany. Czekałem na jakiś głos czy szmer, westchnienie, lub długi, przeraźliwy krzyk przerażenia. Tymczasem nic. Nieznośna, drażniąca cisza, stająca się wreszcie czemś niesamowicie przerażającem w swej martwocie. Aby zapanować nad nerwami, zacząłem chodzić tam i z powrotem. Widziałem, że to samo robią moi dwaj towarzysze. Czas dłużył się nam w nieskończoność.

Wreszcie pokazał się nasz przewodnik. Tym razem wyszedł przez drzwi. Spowijał go ten sam długi gabardinowy płaszcz. Zdawało mi się, że był jakiś wyższy, więcej może szlachetny, lecz zadowolony, że znalazł się w towarzystwie żywych, że może opuścić miejsce, gdzie przeżył to wszystko.

W drodze powrotnej opowiadał nam swoje przygody.

Z rewolwerem w ręku i ślepą latarką wszedł na drugie piętro. Usiadł na schodach, przylgnąwszy do muru i czekał w zupełnej ciemności. Czas, jak i nam, wlókł się nieznośnie. Daleki zegar wydzwonił północ. — W pewnej chwili na ulicy usłyszał kroki spóźnionego przechodnia. Cień tej postaci przemknął po murze tuż przed jego oczyma. Niczem nieusprawiedliwione przerażenie podniosło mu włosy na głowie. Jednocześnie poczuł instynktownie, że ktoś schodzi z góry po schodach. Nie było słychać żadnego szmeru. Przeciwnie, cisza była tak głęboka, że słyszał wyraźnie przyśpieszone bicie własnego serca. Nagle, tuż nad głową, ujrzał rozwianą falę ognistych włosów, bladą twarz i utkwione w siebie oczy. Lekko fosforyzująca, powłóczysta szata spływała z ramion zjawy. Przeszła tuż koło niego i skierowała się do otwartego w głębi mieszkania okna. Tu zatrzymała się przez chwilę, jakby nie zdecydowana, poczem wspięła się na parapet i skoczyła w próżnię. Prawie w tej samej chwili usłyszał plusk wpadającego w wodę ciała. Gdy wyjrzał przez okno, zobaczył przylegającą do jednej ze ścian domu sporą sadzawkę: powierzchnia wody była gładka i nietknięta.

— Takie są moje przygody, — zakończył, dodając, że jest przekonany, iż nieszczęśliwa istota, której ducha widział, musiała tu kiedyś popełnić samobójstwo. Teraz prosi nas o zachowanie przynajmniej 24-o godzinnej dyskrecji. Wiedzieliśmy, że obawia się zbytecznego rozgłosu i zemsty sił nadprzyrodzonych.

Przy pożegnaniu zapewnił nas, że wyrządziliśmy mu przysługę, o jakiej sami nie mamy pojęcia.

Na drugi dzień chciałem pomówić z nim obszerniej o przygodach nocy, lecz w hotelu, który mi wskazał, nikt go nie znał. Poszedłem na ulicę Norton, obszedłem „nawiedzony" dom, skonstatowałem ze zdumieniem, że nie ma tam żadnej sadzawki. Na planie starego Bristolu odkryłem, że na miejscu, gdzie stał obecnie tajemniczy dom, znajdowało się kiedyś niewielkie jeziorko...

*

— Czy o tej historji — zapytałem Maitlanda — nigdy nie wspomniano w dziennikach?

— Co?! — roześmiał się. — Aż za dużo narobiła hałasu. Już następnego dnia cała prasa wrzeszczała, że ograbiono w zagadkowych okolicznościach dom starego skąpca na Norton Street. Zniknęła drogocenna szkatułka wypełniona papierami wartościowemi i klejnotami.

Złodziej, jak skonstatowano, wszedł przez okno.

Ma się rozumieć, świadków nie było. I tylko sąsiadka, wdowa Higgins, twierdziła uparcie, że w nocy widziała trzech drabów spacerujących bez żadnej usprawiedliwionej przyczyny tam i z powrotem. Zapewne pilnowali, żeby przypadkiem jakiś niepotrzebny stróż bezpieczeństwa nie zapuścił się w Norton Street.

Jasnowidz o sobie

Jasnowidztwo inż. Stefana Ossowieckiego zyskało sobie w szerokich kołach naszej stolicy podziw i zainteresowanie. Do mieszkania jego napływają często zupełnie fantastyczne prośby. Gdy urzędnik przez nieuwagę zostawi teczkę z papierami i aktami w tramwaju, udaje się po radę do inż. Ossowieckiego. Gdy śliczna pani Musia zapomni w taksówce swego lisa, też biegnie po pomoc do „wszechwiedzącego jasnowidza". Zdarzają się również i wypadki poważniejsze, któremi absorbuje się wyjątkowe właściwości jaźni szanownego inżyniera.

Zewnętrznie nie wygląda on zupełnie na „maga". Blondyn o jasnych oczach w sile wieku reprezentuje dobrze typ zawo-



Inż. Stefan Ossowiecki

dowca-inżyniera. Lubi atmosferę restauracji, dancingu, nie stroni od życia. Doświadczenia swoje najchętniej robi bez żadnych przygotowań, bez reżyserji, bez kulisów. Na przyjęciu towarzyskiem nie odmawia demonstracji swoich ciekawych uzdolnień psychicznych, traktując je skromnie, prosto, bez pozy i snobizmu. Być może, iż rzeczy te wpływają właśnie na sugestję i urok, jakie roztacza dookoła siebie inż. Stefan Ossowiecki. Obserwowany i badany przez wybitnych psychologów, jak prof. K. Richet, nietylko nie traci, lecz zyskuje, jako fenomen ludzki Zainteresowanie osobą inż. Stefana Ossowieckiego sięga obecnie bardzo daleko. Naukowe koła całego świata zaliczają psychiczne właściwości inż. Ossowieckiego do zjawisk niezwykłych. Doświadczenia z nim robiły i jednostki wybitne, jak St. Przybyszewski, M. Tugan-Baranowski, prof. Osty, prof. Geley, Schrenk-Notzing. Nawet marszałek J. Piłsudski zainteresował się temi eksperymentami i kilkakrotnie dawał do rozwiązania zadania inż. Ossowieckiemu.

Specjalnością naszego jasnowidza jest odczytywanie tekstów, zamkniętych w koperty, rurki ołowiane, szczelnie zalutowane. Liczby, rysunki, fotografje odzwierciadlają się w wyobraźni dr. Ossowieckiego z zadziwiającą dokładnością. Dr. Ch. Richet zwraca specjalną uwagę na łączność „jasnowidztwa" warszawskiego inżyniera z graficznemi znakami. Wyklucza telepatję, gdyż inż. Ossowiecki odgaduje treść izolowanej, zamkniętej karty przez mięcie koperty w ręku, przez dotykanie się przedmiotu, który zawierał lub zawiera w sobie ukryte zadanie doświadczenia. Jasnowidz nasz nie lubi, by suggerowano go, gdyż to właśnie przeszkadza mu w pracy uświadomienia zadanego zagadnienia.

Inż. Stefan Ossowiecki posiada również wyczulony wzrok na aurę ludzką. Wielokrotnie przepowiedział śmierć różnym ludziom. Ostrzegał dr. Geley przed podróżą lotniczą, która skończyła się katastrofą. Na kilka godzin przed śmiercią hr. Wielopolskiego, zaniepokojony o jego życie, mówił kilku znajomym, iż zbliża się chwila decydująca. Prawdziwość tych faktów potwierdza spora wiązanka protokułów, podpisanych przez nazwiska wiarogodne, nie szukające sensacji i rozgłosu.

Rzeczy te zostały teraz uprzystępnione i szerokiej publiczności. Inż. St. Ossowiecki ogłosił bowiem drukiem pokaźną książkę p. t. „Świat mego ducha", w której zamieścił wiele protokułów z seansów, z powodzeniem odbytych. Dołączył tu fotografję, rysunki, odbitki kliszowe z różnych zadań, rozwiązywanych tak w kołach laików, jak i uczonych.

Jak nasz jasnowidz odbywa swoje seansy, najlepiej świadczy wyjątek z pisma delegata Ligi Narodów G. Charpentier'a. Zanotował on:

„Byłem zaproszony przez pułk. de Mazarat z p. Ossowieckim, którego nie znałem, na śniadanie do Hotelu Europejskiego. Byliśmy we trzech.

Rozmowa dotyczyła zjawisk jasnowidztwa. P. Ossowiecki powiedział mi: Pan nie wygląda na wierzącego. Jeżeli pan tego bardzo chce, zrobimy małe doświadczenie. Niech pan wyjdzie z sali i uda się dokądkolwiek. Proszę narysować na kartce jakiś rysunek, niech go pan włoży do koperty, zapieczętuje, a ja powiem, co zostało narysowane".

P. D. Mazarat skorzystał z tej propozycji. Odszedł od stolika do szatni, narysował na skrawku papieru mysz, karteczkę włożył do koperty, zapieczętował. Gdy wrócił i podał kopertę inż. Ossowieckiemu, ten natychmiast oświadczył:

— To mysz! Proszę o kawałek papieru, narysuję ją panu".

Zadziwiająca prostota tego aktu wyklucza jakąkolwiek szarlatanerję.

Wszystkie doświadczenia wykonywa z podobną prostotą inż. Ossowiecki. Jest niewątpliwym fenomenem psychologicznym. „Świat mego ducha" należy uważać za ciekawy dokument i przyczynek do orjentowania się w zawiłych i ciekawych drogach jaźni ludzkiej.

Dr. Z. M.

ŚWIAT TEATRU

Ś. p. Wiesław Gawlikowski (Pacholski)

Znakomity artysta zespołu b. teatrów miejskich zmarł w Warszawie po kilkudniowej chorobie w dniu 19 b. m.

Z przedwczesną śmiercią Wiesława Gawlikowskiego ubywa z szeregów aktorstwa polskiego jedna z najwybitniejszych postaci współczesnego aktorskiego pokolenia: mocny talent odtwórczy, szczery



Ś. p. Wiesław Gawlikowski

artysta, prawy człowiek, dobry kolega, rzetelny pracownik teatru.

Cichy z natury, nie szukający rozgłosu w teatrze ani w życiu, lubiany ogromnie przez towarzyszów pracy i przez publiczność, wysoko ceniony przez krytykę, — celował w rolach cichych, smutnych ludzi; chociaż i dziedzina humoru i groteski również nie była Mu obca. Miał zdolności aktorskie wszechstronne; z upodobań i rodzaju techniki odtwórczej (największą Jego siłą była prostota) był aktorem wysokiej klasy i wskroś — nowoczesnym.

Odchodzi w pełni sił męskich, bo zaledwie w 42-im roku życia, w pełnem opanowaniu umiejętności aktorskiej, pozostawiając po sobie żal głęboki, zarówno w szerokich sferach miłośników teatru, jak i wśród licznych rzesz publiczności kinematograficznej, wśród której znany był z wielu — również wybitnych — kreacji ekranowych.

Cześć Jego pamięci!

Warszawskie Teatry Miejskie

Obydwa teatry dramatyczne — Narodowy i Letni — zapowiedziały, wzorem ubiegłego sezonu, tydzień przedstawień wieczorowych *po cenach zniżonych*. Na przedstawieniach tych ukażą się: w Narodowym ostatnie nowości repertuarowe tego teatru, więc *„Most"* Jerzego Szaniawskiego i *„Kean"* Dumasa (ojca); w Letnim wznowiona będzie rekordowa komedja paryska Jakuba Devala *„Mademoiselle"* (dotychczas 102 przedstawienia!) w wybornej obsadzie premjerowej Teatru Nowego z Ćwiklińską i Dulębą na czele. Szerokie sfery inteligencji zawodowej z wdzięcznością napewno powitają inicjatywę dyrekcji teatrów; pozwoli ona prawdziwym miłośnikom teatru zapoznać się z trzema świetnemi widowiskami stołecznemi w wyborowej obsadzie.

Najbliższemi premjerami tych teatrów będą: w Narodowym słynny dramat znakomitego pisarza rosyjskiego Leonidasa Andrejewa *Ten, którego biją po twarzy* w nowej inscenizacji Karola Borowskiego i w sensacyjnej obsadzie ról naczelnych: Wojciech Brydziński (Ten), Junosza-Stępowski (Hrabia Mancini), Bogusław Samborski (Baron), Marja Gorczyńska (Pogromczyni) i Jadzia Andrzejewska w popisowej roli Consueli. Po Manueli w „Dziewczętach w mundurkach" będzie to druga wielka rola młodziutkiej, nader utalentowanej artystki, oczekiwana przez teatromanów stolicy z wielkiem zaciekawieniem.

W Teatrze Letnim, dzięki niezmordowanej inwencji dyr. Emila Chaberskiego, już od piątku 31 b. m. wypłacana będzie publiczności aktualna wiedeńska *Gotówka* w wysokocennej walucie obsadowej: Lubieńska, Orwid, Wesołowski, Kurnakowicz, Hnydziński. Spodziewać się trzeba ruchu przy okienku kasowem.

Teatr Nowy — w pełnej chwale niesłabnącego powodzenia — odpoczywa nadal w *Cieniu* wielkiego tryumfu Marji Malickiej.

W kilku wierszach

ZGON E. VAJDY

W Budapeszcie zmarł nagle jeden z najpoczytniejszych współczesnych dramaturgów węgierskich — Ernest Vajda. Przed laty dziesięciu był on najwięcej grywanym — obok Molnara i Lengyela — autorem węgierskim. Grano go na wszystkich scenach europejskich. W Polsce wystawiono kilka jego utworów — z powodzeniem. Największy sukces zdobyła „Kobieta, która zabiła". Ta sztuka, która zresztą cieszyła się wszędzie olbrzymiem powodzeniem, utorowała mu drogę na sceny amerykańskie i angielskie, co przyniosło mu sławę i ogromną fortunę. Ostatnio poświęcił się niemal wyłącznie twórczości filmowej.

MUSSOLINI NA SCENIE WIEDEŃSKIEJ

Dramat napoleoński Mussoliniego i Forzana „Sto dni", którego ukazanie się na scenie Teatru Narodowego w ubiegłym sezonie zostało tak niechętnie powitane przez krytykę warszawską, — zapowiedziany jest jako najbliższa premjera państwowego teatru austryjackiego, Burgu. Do otworzenia roli Napoleona zaproszono jednego z najznakomitszych współczesnych aktorów niemieckich — Wernera Krausa. Fouché'go grać będzie najznakomitszy aktor zespołu Burgu — Raul Aslan.

SZEKSPIR W PARKU FLORENCKIM

Maks Reinhardt bawi obecnie we Florencji, gdzie w ciągu tegorocznego sezonu letniego zamierza wystawić z aktorami włoskimi baśń szekspirowską „Sen nocy letniej". Przedstawienia odbywać się będą pod gołem niebem w słynnym Giardino Boboli.

CHINY JUŻ RYCZĄ W WARSZAWIE

Słynne „Ryczcie Chiny!" Tretjakowa grane już są aktualnie w Warszawie w żydowskim teatrze „Scala". Z tego powodu „zaistniał" (mówiąc językiem kawałków urzędowych) spór „pryncypialny" o prawo pierwowystawienia w Warszawie sztuki pisarza rosyjskiego — między teatrem żydowskim a Ateneum, które od dłuższego czasu zapowiedziało było wystawienie „mniejszościowego" dramatu sowieckiego w inscenizacji i reżyserji Leona Schillera. Skończy się na tem, że Chiny ryczeć będą jednocześnie na dwóch scenach w Warszawie.

MODA HAFTÓW LUDOWYCH

Ostatnim ewenementem dla sfer towarzyskich stolicy był pokaz w Towarzystwie Popierania Przemysłu Ludowego, urządzony staraniem p. Jadwigi Beckowej, małżonki p. ministra spraw zagranicznych.

Pokaz ten miał na celu propagandę prześlicznych haftów ludowych z różnych dzielnic naszego kraju i związanie ich z dzisiejszą modą.

Wnętrze Bazaru Towarzystwa Popierania Przemysłu Ludowego zapełniło się najwytworniejszą publicznością.

Głównym punktem atrakcyjnym były panie Zofja Warchałowska, Zofja Sztamska, Łubieńskie, Sokołowska, Zawiszyna, Tuwanówna oraz Orynżyna, które pełniąc role gospodyń i równocześnie „manekinów", demonstrowały świetnie z haftami ludowemi sharmonizowane suknie i kostjumy letnie, pochodzące z firmy Gustaw Zmigryder.

Przekonaliśmy się, jak dzieło pracy rąk naszych wieśniaczek z Polesia, Wołynia i innych regjonalnych ośrodków, umiejętnie zastosowane do obecnej mody, stworzyć może pełnię harmonji estetycznej i zdobyć miejski rynek dla zbytu, który będzie źródłem nowych zarobków dla ludu małorolnego.

Kostjumu z białego płótna, którego żakiecik był arcydziełem haftu poleskiego, nie powstydzi się najwytworniej ubierająca się pani. Kostjum ten nosiła p. Warchałowska i jak nas zapewniono, sześć



jego kopij, z których pięć idzie do Francji, a jeden do odległego Tokjo, będzie żywym wyrazem propagandy polskich haftów ludowych.

Urocza pydżama, połączenie biało-granatowego płótna lnianego z czerwonym haftem wołyńskim i do tego prześliczna czapeczka, cała zahaftowana, noszona przez p. Sztamską, znajdzie niezawodnie wiele amatorek. Jako strój plażowy zwróci uwagę w światowych miejscowo-



ściach kąpielowych i może śmiało rywalizować z kreacjami grands faiseurs'ów paryskich.

Poza miłemi sukienkami letniemi z płótna, ozdobionemi haftem misternym, białym i kolorowym, zwracała uwagę oryginalnie pomyślana toaleta p. Orynżyny, w której srebrno-popielata georgetta przybrana była amarantowym haftem kurpiowskim.

Sądząc z entuzjazmu, jakiego byliśmy świadkami na niedzielnym pokazie, wywnioskować możemy, że lato 1933 r. będzie pod znakiem płótna i haftów ludowych. Jak dotąd, wszystko się po temu układa. Zademonstrowane nam modele mogą liczyć na poparcie tworzących modę czynników.

Zofja Targowska

Kronika muzyczna

Radjo z pomocą muzyce

Parlament austrjacki uchwalił ustawę, której mocą jedna dziesiąta wszystkich wpływów Radja austrjackiego przelewana będzie do specjalnego funduszu, mającego na celu popieranie sztuki i artystów, ze szczególnem uwzględnieniem muzyki i muzyków. Przewidywany wpływ wyniesie ponad miljon szylingów.

Przykład austrjacki powinien być naśladowany. Obecny stan rzeczy nie może być tolerowany: z jednej strony znakomicie, pomimo kryzysu na całym świecie, prosperujące radjo a z drugiej — rzesze wynędzniałych artystów, którzy swemi talentami i pracą zasilają radjo, stanowiąc podstawę wszystkich programów.

Wiadomość ta nadchodzi w chwili, kiedy czasopismo „Muzyka" rozpisało ankietę na temat: 1° Jakie są przyczyny upadku ruchu muzycznego w Polsce? 2° Jakie środki ratownicze należy przedsięwziąć w tej dziedzinie?

Pytania te możnaby uzupełnić trzeciem, a mianowicie:

Jak długo, wobec stopniowego zamierania muzyki, radjo będzie się cieszyło tak wielką popularnością?

Nie trzeba się łudzić, że i bez muzyki radjo da sobie radę. Muzyka pozostanie czynnikiem popularyzującym radjo w masach. Odejmijcie radju muzykę, albo — co na jedno wychodzi — obniżcie jej poziom, a zamrze ono z całą pewnością. We własnym interesie powinno ono popierać twórczość muzyczną.

M. Kl.

BILET SZOPENA ZA 1300 FR.

Na licytacji autografów w Paryżu wystawiony był na sprzedaż, osiągając cenę 1300 franków, bilet wizytowy Chopina. Był na nim własnoręczny napis mistrza: „Kochany doktorze! Zechce pan być tak dobry i odwiedzić — panią Sand dziś około 6-ej".

*

W Hamborn (Nadrenja) urządzony został staraniem Związku westfalskich kół sportowych uroczysty obchód szopenowski, który zgromadził tłumy naszych wychodźców.

*

Odbyła się w sali warszawskiej Rady Miejskiej uroczystość wręczenia odznak honorowych zasłużonym propagatorom pieśni chóralnej: prof. A. Ponikowskiemu, Z. bar. Kronenbergowi, prof. T Czerniawskiemu, prof. Z. Ursteinowi.

OTWARCIE FILTRÓW POSPIESZNYCH



Fot. J. Malarski

Dnia 21 bm. odbyło się poświęcenie i otwarcie Zakładu Filtrów Pospiesznych przy ul. Suchej, wzniesionych kosztem miasta Warszawy. Uroczystość zaszczycił swoją obecnością Pan Prezydent Ignacy Mościcki, pozatem przybyli przedstawiciele rządu, municypalności i prasy.

Dostojnego Gościa powitał prezydent miasta inż. Słomiński, a po poświęceniu gmachu przez radnego ks. Wyrębowskiego, dyrektor wodociągów inż. Rabczewski w dłuższem przemówieniu skreślił historję wodociągów w Warszawie i dzieje budowy filtrów, zadaniem których będzie zapobieżenie brakowi wody na wyższych piętrach.

Następnie Pan Prezydent uruchomił filtry, a uroczystość zakończyła się zwiedzeniem gmachu i jego urządzeń.

SŁUSZNE GŁOSY

Niedawno zniesiony został w Polsce zakaz palenia tytoniu w wozach tramwajowych. Wprawdzie wolno palić tylko w wozach przyczepnych, ale i to jest już znacznem ułatwieniem dla palaczy, którzy, stanowiąc olbrzymią większość społeczeństwa, byli niewiedzieć dlaczego na każdym kroku krępowani.

Po zniesieniu tego zakazu dały się słyszeć pojedyncze protesty, żale. Minęły jednak bez echa. Jeśli jeszcze dyrekcja tramwajów zainstaluje popielniczki, co, jak słychać, ma nastąpić w najbliższym czasie, zapomnimy o protestach i o tem, że kiedyś zakazy takie istniały. Takie koleje przechodzi nieomal każda inowacja, zwłaszcza jeśli nie dotyczy wszystkich bez wyjątku ludzi.

Ostatnio dają się coraz częściej słyszeć głosy za zniesieniem zakazu palenia w kinach. Cóż słuszniejszego. Kino — to dwugodzinna rozrywka, która zamienia się w męczarnię dla człowieka przyzwyczajonego do palenia. Względy bezpieczeństwa pożarowego w nowocześnie urządzonych kinach nie odgrywają tu roli. Wentylacja jest przepisowo obowiązująca.

Cóż więc utrzymuje ten zakaz? Stare przyzwyczajenie, obawa przed inowacją? Chyba przeważyć powinna wygoda ludzi, przyzwyczajonych do palenia i z tego powodu pozbawiających się nieraz rozrywki, jaką jest kino.

Sądzimy, że związek właścicieli kin powinien pomyśleć o tem drobnem udogodnieniu dla swych klijentów i wystąpić o zezwolenie na zniesienie zakazu palenia w kinach, przynajmniej w tych, które są nowocześnie urządzone.

L. K.

„TAHITI — TO NUDNA DZIURA"

Wielkie powodzenie filmu „Tabu" spowodowało zaangażowanie wykonawczyni głównej roli kobiecej — uroczej Reri — naprzód do „Siegfield Folies", a potem do Berlina, Paryża, Brukseli... Ostatnio zawitała Reri również i do Warszawy. Swego czasu — niektóre pisma rozdzierały szaty z powodu tego wyrwania „dzikiej" wyspiarki z jej słonecznego, kwietnego a prymitywnego otoczenia.

— Biedna, mała Reri — pisano — zabłąkałaś się w dżungli wielkiego miasta!... Reri wróć na Tahiti!

Wróć!... łatwo to powiedzieć, kiedy Reri, a właściwie Anna Chevalier — bo takie jest jej prawdziwe imię i nazwisko w paszporcie — ani myśli o powrocie do ojczyzny. Przyznaje się do tego szczerze:

— Chciałaby pani wrócić na Tahiti?

— Odwiedzić krewnych — owszem, ale na stałe — za nic w świecie! Po Nowym Yorku, Paryżu, Berlinie, Warszawie — Tahiti?! To przecież nudna dziura!... Proszę sobie wyobrazić, że nawet w głównem mieście Tahiti niema dancingu, i są tylko dwa kina i to jeszcze nieme...

— Ale przecież tam ludzie tańczą?

— No tak, tańczą wszyscy od dziecka — te polinezyjskie tańce, ale ja osobiście dla siebie wolę walca! przepadam za walcem!...

Reri, — półkrwi polinezyjka z ojca francuza, jest zaledwie lekko żółtawa i na dobrą sprawę dla wywołania większego efektu „kolorowości" powinna się przyciemniać bronzowym pudrem.

— Czy rodzice pani nie mieli nic przeciwko temu, aby pani odjechała z obcymi ludźmi tak daleko?

— Ja mam osiemnaścioro rodzeństwa. Rodzice powiedzieli: „A jedź, będzie jedna gęba mniej do karmienia".



Anna Chevalier — „Reri"

CYWILIZOWANA DZIKUSKA — RERI

Zresztą Murman nie znalazł swojej „gwiazdy" w jakimś dziewiczym lesie, jak to głoszono dla reklamy, ale zaangażował młodą dziewczynę, normalnie uczęszczającą do francuskiej, katolickiej szkoły średniej dla dziewcząt.

Reri mówi doskonale po francusku, świetnie po angielsku i nieźle po niemiecku, w paryskich toaletach porusza się szykownie i z wdziękiem.

— Czy tahitianki wszystkie używają strojów narodowych?

— Na wsi — zwłaszcza w okresie upałów — tak, ponieważ sam klimat tego wymaga, aby jak najmniej osłaniać czoło... Ale w mieście kobiety chodzą ubrane według mody Zachodu...

— Pani pali tyle papierosów? Czy pani nauczyła się tego w swej ojczyźnie?

— O tak... Na Tahiti — wszystkie kobiety palą papierosy.

— Pani jest prawie biała, a reklamowano panią jako dzikuskę...

— Je suis quand même un peu sauvage. (A jednak jestem trochę dzika) — zapewnia z uśmiechem Reri, pokazując wspaniałe, olśniewająco białe zęby — a co do cery — to tylko w zimie jestem taka jasna... W lecie, kiedy się opalę, jestem zupełnie czekoladowa!

Pani tańczy i śpiewa?

— Poraz pierwszy śpiewam na scenie — teraz w Warszawie... Prawdę mówiąc, nie mam wcale głosu.. I jeszcze jedno. Nie mam zamiaru rywalizować z Józefiną Baker. Ja nie jestem gwiazdą rewjową, ale aktorką filmową, która pokazuje się publiczności — także na scenie, bo teraz taka moda...

J. Migowa



Młody poeta. — *Kiedy ten poemat przeczytałem swojej matce, rozpłakała się.*

— *Młodzieńcze! Nie lękasz się doprowadzać matkę do wylewu łez?*

FUTRA

Piękne Panie, Najmilsze Nasze Czytelniczki — piszemy dla Was te kilka słów u progu wiosny. Złośliwy kryzys nie oszczędza płci pięknej. Tyle potrzeb, a pieniędzy zawsze za mało.

Przedwiośnie, wczesna wiosna, — każda z was, Piękne Panie, tak bardzo pragnęłaby mieć modną futrzaną kurteczkę wiosenną, a może srebrnego lisa czy płaszczyk futrzany. Futra są teraz tak naprawdę piękne. Cały sekret jest tylko w tym, ażeby za to niedrogo zapłacić, bo kryzys. Ten właśnie sekret chcemy Wam zdradzić.

Oto znana firma futrzana „Julja Ujejska" (Nowy Świat 29, róg Chmielnej) jedna z najpoważniejszych placówek branży futrzanej w Polsce, wyróżniająca się niespotykanym prawie u nas poziomem etycznym, umiała zrozumieć ciężką sytuację naszej publiczności w chwili ostrego kryzysu i przygotowała pierwszorzędną kolekcję nowych modeli futrzanych po cenach niskich.

My ze swej strony musimy Wam, Kochane Czytelniczki, polecić firmę „Julja Ujejska", gdyż wyjątkowa jej solidność daje Wam całkowitą gwarancję, że za niewielkie pieniądze dostaniecie towar pierwszorzędny i jaknajlepiej wykonany. A na żadnym towarze nie jest tak łatwo się oszukać, jak na futrze; jedyną gwarancją dobrego kupna futra jest tylko solidność firmy sprzedającej.

Firma „Julja Ujejska" posiada wspaniałe srebrne lisy kanadyjskie, niebywałej wprost jakości, wielki wybór modnych futrzanych kurteczek z rozmaitych futer (agneau rasé, łapki karakułowe, krety, tygrysy, brzuszki i t. p.) futrzane wiosenne płaszczyki, szale, pelerynki jak również wszelkie inne futra. Notabene trzeba dodać, że obecna pora jest najodpowiedniejsza do kupowania futer wogóle.

Ale przedewszystkiem, Kochane Czytelniczki, nie zapomnijcie obejrzeć nowych modeli w magazynie Julji Ujejskiej, Nowy Świat 29.

J. W.

Pielęgnujmy racjonalnie urodę!

W czasach dobrobytu stanowił pieniądz treść życia, dziś — w dobie ogólnego zubożenia — stała się uroda wszechwładną potęgą, a dzięki wysubtelnieniu walorów psychicznych, ukształtowała kobieta nowe życie. Z bezsilnej niemocy odrodziła się w żywotnej sile i wysunęła na szczyty społecznej działalności. Byłoby atoli błędem emancypować się z cennych walorów kobiecości, choćby nawet zaniedbywaniem skarbu urody. Zasadą powinno być: wystrzeganie się szablonowej maniery w doborze preparatów kosmetycznych. Nie posługiwać się zimną wodą, mydłem ani kremem, jeśli cera okazuje tłustą właściwość. (Wskazówki dla rozpoznania właściwości cery znajdzie czytelnik w broszurce, załączonej do każdego preparatu lekarsko-kosmetycznego wytwórni „Miraculum"). Tłustą cerę myć należy wyłącznie gorącą wodą i proszkiem marmurowym „Miraculum", a pudrować: odtłuszczającym pudrem higjenicznym D-ra Lustra. Przed umyciem powlec twarz na 10 minut mleczkiem „Lityną". Zaznaczam, że i kremy mają celowe przeznaczenie. Wymienię dziś trzy wykwintne kremy: dla prawidłowej cery i jako podkład pod puder — matowy krem „Mira", dla suchej i wiotczejącej — hormonowy krem „Oxa", a przeciw zmianom atmosferycznym, do wygładzenia naskórka twarzy i rąk oraz do wielu innych wskazań w codziennym użytku — bajeczny krem „Ultrasol".

Ś. p. Jan Ruszczyński

Dn. 10 marca r. b. zmarł w Warszawie w 74 roku życia, znany od 50 lat w naszej stolicy nestor artystycznego zawodu jubilerskiego Jan Ruszczyński. Zmarły, będąc człowiekiem nieposzlakowanej uczciwości, zawodowcem o wybitnych zdolnościach, oraz sumiennym kupcem, cieszył się ogólnem uznaniem i nieograniczonem zaufaniem. W 1920 r. po wojnie został, jako świetny znawca drogich kamieni, wysłany przez rząd polski do Moskwy w celu otaksowania i odbioru od rządu sowieckiego przyznanych Polsce traktatem pokojowym, jako odszkodowanie za tabor kolejowy wyrobów złotych i drogich kamieni wartości jedenastu miljonów rubli złotych. Praca ta trwała pięć miesięcy.



Ś. p. Jan Ruszczyński

Przyjmując bardzo czynny udział w pracach społeczno-organizacyjnych, ś. p. Jan Ruszczyński był jednym z założycieli Tow. Łyżwiarskiego i do chwili śmierci pozostawał gorliwym miłośnikiem sportu zimowego. Nieszczęśliwy wypadek, jakiemu uległ na ślizgawce, przyczynił się do Jego zgonu.

Ogólny żal towarzyszy Mu do grobu.

Cześć Jego pamięci.

W kinach warszawskich

Premjera sowieckiego filmu w Warszawie ma posmak pewnej sensacyjności.

W nowym jednak dźwiękowcu „Sowkina" p. t. „Kain i Artem" (Kino Apollo) niema bynajmniej momentów drastycznych, ani tendencji.

Bohaterami obrazu są: zdziczały burłak z nad Wołgi i... chuderlawy szewc żydowski Chaim (Kain). Te dwie postaci symbolizują starcie się dwóch światów: elementu potężnej, lecz pozbawionej kierunku siły, — oraz przedstawiciela rozumu i wszechprzebaczającej miłości bliźniego.

Scenarjusz oparto na nowelce Gorkiego. Konstrukcja jego miejscami szwankuje.

Inscenizacja sowieckiego reżysera Bitowa i francuskiego — Abla Gance'a nazbyt monotonna i przeładowana zbliżeniami (t. zw. pierwszy plan).

„Pierwszy plan" zastosowany poraz pierwszy przez Griffitha miał na celu zwrócenie uwagi na pewną, specjalną scenę, czy osobę, na podkreślenie, uwypuklenie ważnego szczegółu.

Czy można sobie jednak wyobrazić, aby każda postać, każda scena, moment były tak istotne, aby je zdejmować wyłącznie w zbliżeniach?

Jestto oczywisty nonsens i przesada, w jaką popadli twórcy sowieckich filmów.

Na specjalne wyróżnienie zasługuje komedja rysunkowa, świetna zarówno pod względem tematycznym, graficznym i muzycznym.

*

Prosty, może nazbyt prosty jest dramat „Pieśń serca" (Kino Adria Palace). Ubogi sklepikarz opiekuje się cudzem, ułomnem dzieckiem, gdyż jest ono jedyną jego radością i treścią życia. W amerykańskm filmie historja taka nie może się inaczej skończyć, jak cudownem ocaleniem dziewczynki i sceną miłego, wspólnego spaceru przybranego ojca z uleczonem dzieckiem. „Pieśń serca" ma dużo sentymentu i siły dramatycznej. Jeżeli film robi tak silne wrażenie, zasługa to w pierwszym rzędzie artystów, którzy zagrali swe role po mistrzowsku.

(j. t.).



KRÓTKOWZROCZNY TAKSATOR W LOMBARDZIE:

Nie mogę przyjąć tego futra. Jest zjedzone przez mole.

Do niniejszego zeszytu „Świata" załączamy jako bezpłatne premjum powieść **Kpt. A. E. DINGLE'A**

„ZŁODZIEJE PEREŁ"

Przekład autoryzowany Dr. H. Bukowskiej

Z dziedziny kosmetyki

P. Halinie: Zęby, pomimo palenia, będą zawsze śnieżnej białości, o ile będzie je pani czyścić *wybielającym proszkiem Albol.* Jako pastę do stałego użytku, polecam pani *Philodont,* który doskonale dezynfekuje jamę ustną i utrzymuje zęby w należytym porządku.

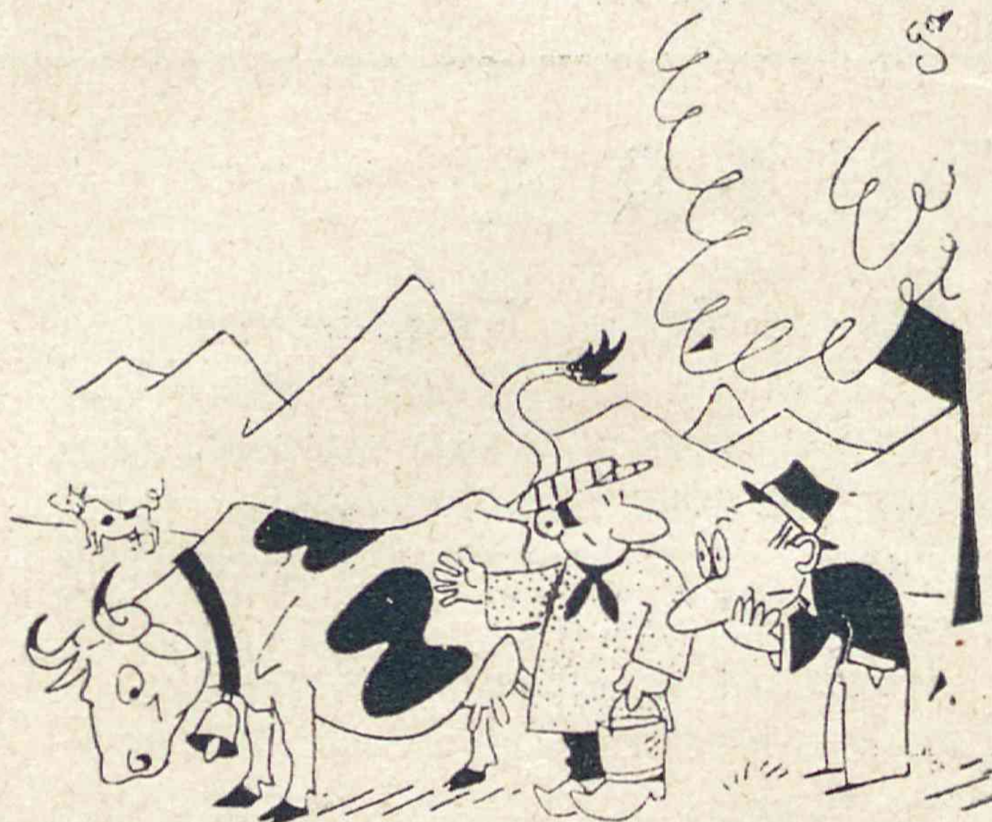
Zmartwionej: Brwi i rzęsy przyciemni pani na trwały, niezmywający się kolor *Hennoliną do brwi.* Co się tyczy rozjaśnienia włosów, to polecam pani *płyn Hella,* który rozjaśnia włosy i nadaje im kolor złoto-blond. Przytem *płyn Hella* nie niszczy włosów.

Wrażliwej: Myć włosy w zimie wodą jest niedobrze, gdyż łatwo można przeziębić głowę, no i włosy długo schną. Najlepiej czyścić głowę na sucho *pudrem Florentin.* Wtrzepuje się cokolwiek *pudru Florentin* dłonią w głowę i następnie wyczesuje grzebieniem i szczotką. Włosy odrazu są suche i puszyste.

Maryli M.: Najlepiej zachowa pani czystą, świeżą cerę, stosując *krem Abarid.* Na noc wetrzeć cokolwiek *kremu Abaridowego* i przypudrować *pudrem Abarid.* Rano zmyć twarz *otrąbkami Abarid* w dobrze ciepłej wodzie i przypudrować tymże pudrem.

Dbałej: Do rąk lepszego kremu nad *krem Prałatów* niema. Po każdem umyciu rąk, wetrzeć w nie cokolwiek *kremu Prałatów,* przypudrować ręce grubo wybielającym pyłkiem *Juvenia Candida* i włożyć kosmetyczne rękawiczki, lub luźne niciane. Rano, po umyciu rąk, w wilgotne jeszcze ręce wetrzeć znowu *krem Prałatów.* Ma on tę zaletę, że wciera się do sucha, nie plami i nie brudzi.

M-me Ercèdes



EKONOMJA POLITYCZNA

— Ile mleka daje ta krowa dziennie?
— Ze 60 litrów...
— A dużo sprzedajecie tego mleka?
— O, prawie 80 litrów dziennie.

Chorzy

Na katar żołądka, katar kiszek, wątrobę, kamienie żółciowe, hemoroidy, krwotoki, ogólne wycieńczenie, reumatyzm, serce, nerwy, nerki, pęcherz, płuca, gardło, uszy, oczy, egzemę, róże, ranę, migrenę, bóle i zawroty głowy, boleści krzyża, neurastenje a także choroby kobiece, dziecięce i wszelke inne — niech się zwrócą od Rudzińskiego i bóle — cierpienia natychmiast ustąpią. „LECZENIE BEZ LEKARSTW" *) Hipolit Rudziński przyjmuje od 10-ej do 2-ej po poł. i od 4-ej do 7-ej wieczorem. Nowy Świat 55 m. 10.

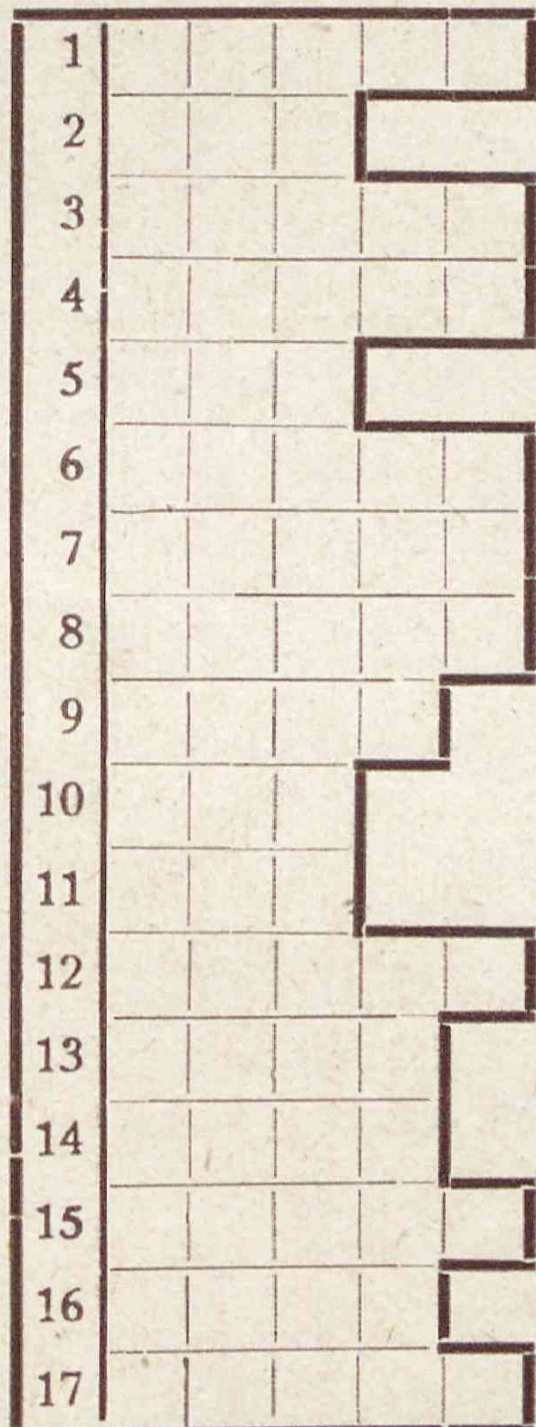
*) Tu Rudziński wyjaśnia, że żadnych lekarstw nie daje, leczy natomiast wiedzą wyższą duchową — tą siłą, która nam i wszystkiemu stworzeniu daje życie swoje na tym świecie.

Rozrywki umysłowe

№ 103 (205) ELIMINATKA

Ułożyła * * *

(Za rozwiązanie 5 punktów)



W daną figurę należy wpisać 17 wyrazów poziomych, o podanem znaczeniu, poczem skreślić w nich te litery, które wchodzą w skład wyrazu (klucza do eliminatki), będącego nazwiskiem czeskiego reformatora religijnego (1369—1415)). Pozostałe litery, czytane poziomo, dadzą rozwiązanie.

ZNACZENIE WYRAZÓW:

1. Pasterz owiec w górach. 2. Głośne stuknięcie, trzask, łoskot. 3. Nasz ulubiony tygodnik. 4. Wszystko, co istnieje, wzięte jako całość. 5. Miasteczko i kąpiele mineralne w Niemczech. Połowa uniesienia. 7. Wór, worek, torba. 8. Rdzenny mieszkaniec Polski. 9. Należący do sowy. 10. Konopie bengalskie. 11. Ryby, żyjące w jeziorach Inflant i Finlandji (2 p. l. mn.). 12. Roślina jadalna (l. mn.). 13. Dawna nazwa włóki o 24-ch morgach chełmińskich (l. mn.). 14. Wieś tatarska. 15. Pensjonat dla ubogiej uczącej się młodzieży. 16. Hojne, sowite, szczodre. 17. Ziemia urodzajna, czarnoziem, próchnica.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ

№ 94 (197). ZANANIE KOLUMNOWE.

1. Oświata. 2. Dwoisty. 3. Biegacz. 4. Kalomel. 5. Strzyga. 6. Gniecie. 7. Marchew. 8. Spoisty. 9. Grafika. 10. Pantera. 11. Ufarbuje (wspak). 12. Wiklina. 13. Zawieja. 14. Ścisnąć. 15. Okulary. 16. Konopie. 17. Ontario. 18. Bielany. 19. Zelówka. 20. Ocalisz. 21. Czyściec. 22. Antenat. 23. Miesiąc. 24. Ferment. 25. Krucica (wspak). 26. Chromać. 27. Jak 20. 28. Helweci. 29. Pomnimy (wspak). 30. Cytryna. — „Świat naprawiać konieczne cechy, a samych siebie naprawić nie umiemy".

№ 95 (198). ZADANIE KWADRATOWE.

Kwindecz. Gałuszka. Bordjura. Oponenci. Fandango. Rezerwat. Dżygetaj. Madrygał. — Karnawał.

№ 96 (199). ZAGADKA.

Kalenbach. Lenbach. Bach.

TRAFNE ROZWIĄZANIA NADESŁALI:

№ 94 (187). (Za rozwiązanie 5 punktów). Marja Strubel. Jawna Kowalska. N. K. Kozłowski. Zygmunt Pieracki (Wilno). Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin). Stefanja Cywińska (Łomża). Dorota Herbstmanówna. Kaź. Wiśniewski. Inż. Modrzejewski (Lublin). Fr. Wiśniewski. Kazimierz Lilpop. Roman Klimczak. Łucja Przechadzka (Piotrków). Z. Tietz. Zenon Brenek. Wacław Tyblewski (Poznań). J. Janczewski (Wilno). Jan Kowalski. Tadeusz Ritter. Zofja Górska. Bolesław Nowak. Henryk Ostrowski. Janina Rowińska. Ola Borman. Henryk Waleski (Lwów). Karol Waldenberg (Łódź). Stanisław Tański. Cecylja Lewandowska. Tadeusz Noskowski. Wiktor Sawicki. Helena Millerowa (Kraków). Ksawery Faliński. Józef Zbyszewski (Kraków). Antonina Solecka. Wiktor Rawicz. Tadeusz Pomianowski. Feliks Siedlecki (Poznań). Gertruda Wolska.

№ 95 (198). (Za rozwiązanie 5 punktów). Kazimierz Lilpop. Marja Strubel. Dorota Herbstmanówna. Fr. Wiśniewski. Z. Tietz. Jawna Kowalska. Łucja Przechadzka (Piotrków). Inż. Modrzejewski. Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin). Zenon Brenek. Wacław Tyblewski. N. K. Kozłowski. Kaz. Wiśniewski. Gertruda Wolska. Ksawery Faliński. Józef Zbyszewski (Kraków). Feliks Siedlecki. Jan Kowalski. Tadeusz Ritter. Tadeusz Pomianowski. Wiktor Rawicz. Janina Solecka. Zofja Górska. Helena Millerowa (Kraków). Bolesław Nowak. Henryk Ostrowski. Janina Rowińska. Ola Borman. Henryk Waleski (Lwów). Wiktor Sawicki. Tadeusz Noskowski. Cecylja Lewandowska. Stanisław Tański. Karol Waldenberg. Marja Bugajska (Kłobucko). Witold Nowicki.

№ 96 (199). (Za rozwiązanie 3 punkty). Kaz. Wiśniewski. Józefa Wolińska. N. K. Kozłowski. Kazimierz Lilpop. Marja Strubel. Wacław Tyblewski (Poznań). Zenon Brenek. Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin). Stefanja Cywińska (Łomża). Inż. Modrzejewski (Lublin). Łucja Przechadzka (Łomża). Jawna Kowalska. Z. Tietz. Fr. Wiśniewski. Dorota Herbstmanówna. Helena Millerowa (Kraków). Ksawery Faliński. Józef Zbyszewski (Kraków). Antonina Solecka. Wiktor Rawicz. Tadeusz Pomianowski. Feliks Siedlecki (Poznań). Gertruda Wolska. Jan Kowalski. Henryk Ostrowski. Tadeusz Ritter. Zofja Górska. Bolesław Nowak. Jerzy Halski. Wiktor Sawicki. Tadeusz Noskowski. Cecylja Lewandowska. Stanisław Tański. Karol Waldenburg (Łódź). Janina Rowińska. Ola Borman. Henryk Walewski (Lwów). Marja Bugajska (Kłobucko). Witold Nowicki.

ODPOWIEDZI KIEROWNIKA DZIAŁU:

Wp. Z. Kołaczkowskiej w Milanówku: Rozwiązania nadsyłać można w ciągu dwóch tygodni od daty ich umieszczenia. W losowaniu biorą udział wszyscy czytelnicy, którzy nadesłali trafne rozwiązanie bez względu na ilość nadesłanych odpowiedzi.

Wp. Kaz. Wiśniewskiemu. W myśl życzenia szeregu autorów, postanowiliśmy zaliczać odpowiednie ilości punktów za nadesłane przez nich i zamieszczone zadania. Uprzejmie prosimy o dalsze współpracownictwo.

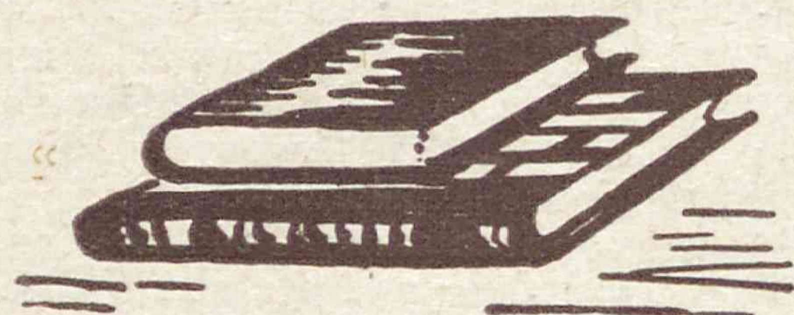
NAGRODY OTRZYMALI:

Ola Borman — książkę.
Stefanja Cywińska (Łomża)—książkę.

Tegoroczne powieści „Świata"

Co miesiąc „SWIAT" daje swoim prenumeratorom, jako

DODATEK BEZPŁATNY,



tom wartościowych, najnowszych powieści

najwybitniejszych autorów o wszechświatowym rozgłosie.



W styczniu 1933 r.

Teodor Dreiser: „GALERJA KOBIET"

Przekład autoryzowany Z. Popławskiej

Autor „Tragedji Amerykańskiej", znanej już w Polsce i z filmu i z książki, w swej ostatniej powieści „Gallery of vomen" daje przegląd kobiecych charakterów. Parokrotny kandydat do nagrody Nobla, jeden z najgenjalniejszych pisarzy współczesnych, książką tą dowiódł, że należy dziś do najlepszych znawców duszy kobiecej. Postacie „Galerji kobiet" — to postacie wyjęte z życia, to rzeczywisty obraz połowy rodzaju ludzkiego XX wieku.

W lutym 1933 r.

W. Somerset Maugham: „Obca naleciałość"

Przekład autoryzowany Bolesławy Kopelówny

Somerset Maugham jest doskonale znany naszym czytelnikom chociażby z dołączonego niedawno do „Świata" — „Okrągłego tuzinu". Oszałamiające powodzenie, jakiem się cieszyły jego sztuki, wystawiane w teatrach polskich, poczytność jego dzieł wydawanych w Polsce skłoniły nas do poszukiwania jego ostatnich dzieł. „Obca naleciałość" jest jedną z najlepszych prac tego pisarza i dramaturga. Maugham z niezrównanem mistrzostwem ukazuje nam życie współczesnej Anglji, dumnego Albionu, odgrodzonego od Europy murem „wspaniałego odosobnienia".

W marcu 1933 r.

Kpt. A. E. Dingle: „ZŁODZIEJE PEREŁ"

Przekład autoryzowany Dr. H. Bukowskiej

Jest to powieść egzotyczna, przedstawiająca życie europejczyków, rozsianych po bezmiernych obszarach kolonji angielskich na Wschodzie. Barwne typy tubylców, tajniki duszy mieszkańców Wschodu, porywająca akcja, czynią ze „Złodziei Pereł" interesującą lekturę. Książka ta obecnie zyskuje na aktualności wobec wypadków na Wschodzie, gdyż akcja rozgrywa się na jednej z wysp, będącej pod protektoratem Japonji.

Redaktor *St. Krzywoszewski.* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o Druk. Galewski i Dau, Warszawa.

P